Egzemplarz obowiązkowy BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 6 X 1974 Nr 20 (558) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY CENA 3 ZŁ

16 TYS. ABSOLWENTÓW

Rozmowa z rektorem UMCS prof. dr. hab. Wiesławem Skrzydło

ZA kilkanaście dni — 23 października — Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej ukończy 30 lat. W dniu ukazania się tego numeru otrzyma przyznany w dniu Święta Lipcowego Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski. Z tej okazji „Kamena" przeprowadziła z rektorem UMCS wywiad, który poniżej zamieszczamy.

— 22 lipca województwo lubelskie zostało odznaczone orderem Budowniczego Polski Ludowej, UMCS zaś Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Jest w tym chyba jakieś iunctim...

— Tak to odczuwamy. Województwo, a szczególnie Lublin, są ściśle związane z Uniwersytetem, który powstał razem z władzą ludową. Stąd hasło, które nasza uczelnia przyjęła od pierwszej chwili — „Nauka w służbie ludu" — i charakter naszej działalności pozostawały w ścisłym związku z tym, czym żyło województwo, z zadaniami jakie ono wypełniało. Podejmowane przez nas problemy miały za zadanie przyspieszyć rozwój Lubelszczyz-

Dokończenie na str. 4

Jezioro Białe koło Włodawy

Fot. Z. Zugaj

Znowu w Lublinie

Maria Kuncewiczowa

GRUDZIEŃ 1971. Miękkie lądowanie na Marsie radzieckiej kapsli z instrumentami badawczymi. Indie zwyciężają Pakistan. Układ berliński parafują panowie Bahr i Kohl, Stany Zjednoczone wznawiają bombardowanie Północnego Wietnamu.

Wyobraźnia potyka się o tę kapslę na Marsie. H. G. Wells lądował tam osobiście, bez kapsli: teraz „Wehikuł czasu" obywa się bez ludzi. Szybko odwracam myśl od stratosfery, krępują mnie zapamiętane z filmów śnieżne tuniki i porcelanowe twarze, to znów plastykowe ryje i stalowe piszczele aktorów udających Marsjan.

Nie wiem, czy rozdzierać szaty, czy triumfować z powodu zagrobowego zwycięstwa Gandhi'ego nad Pakistanem, którego przedstawiciel niedawno zwiedzał kościoły na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie.

Mój Berlin, to seria pocztówek z Zoologu, nadsyłana przez Olesia do Płocka, kiedy miałam lat jedenaście. Spaliły się w 1939 na placu Trzech Krzyży razem z późniejszą pamięcią o berlińskim sataniście Przybyszewskim, o gospodzie „Pod Czarnym Prosiakiem", o modernie Liliencona i Dehmla. Nie wiem o co zahaczyć panów Bahra i Kohla.

„Stany Zjednoczone wznawiają..." — tym razem coś widzę. Widzę jak mój student chicagowski, slawista Jimmy grzmotnął o ziemię „Zbrodnią i karą" i biegnie do windy, potem do Parku Jeffersona — demonstrować i protestować; a mój inny student, wierny Dutz, otwiera rybią paszczę, zamyka i znów otwiera, walcząc ze słowami: „Fuck you, old bastards, you won't get me" *) — apostrofa do Establishment.

Ale dosyć mitów i zgrzytów. Wieziemy Filipa do Lublina. Filip, to postać skomplikowana: Amerykanin, teolog wykształcony w Oxfordzie, pastor przydzielony przez biskupa Gibraltaru do obsługi protestanckich turystów na Sycylii. Zaprzyjaźniliśmy się w Taorminie, gdzie ma domek otoczony pomarańczowymi drzewami i dwa gliniane lwy. Miły, cywilny pan, oczytany i oblatany, traktujący religię jak zbiór równań przydatnych do rozwiązywania bytowych zagadek. Dbał o to, żeby na jego

*) „Mam was gdzieś, stare durnie, nie nabierzecie mnie".

Dokończenie na str. 11

BEZ METOD ZNACHORSKICH

Maciej Podgórski

NIE wolno nam ograniczać się do szkoły podstawowej. Naszym dążeniem powinno być, aby każdy oficer ukończył gimnazjum, każdy szeregowy małą maturę. Musimy dążyć również do tego, by wyżsi oficerowie zdobyli wyższe wykształcenie — powiedział w roku 1947 Franciszek Jóźwiak, ówczesny komendant główny Milicji Obywatelskiej. A przecież był to czas, kiedy bardziej niż matura liczyła się chęć szczera, z czego dziś możemy nawet dobrotliwie dowcipkować, ale co oznaczało wtedy po prostu twardą umiejętność ponoszenia najwyższego ryzyka osobistego w bezpośredniej, zbrojnej walce z wrogiem wewnętrznym.

Niedawno słowa pierwszego komendanta milicji przypomniał na łamach numeru 6/1974 „Zeszytów Naukowych" Akademii Spraw Wewnętrznych pierwszy komendant, a zarazem rektor tej uczelni, płk doc. dr Marian Lipka. I jeżeli społeczne oraz polityczne zmiany w kraju coraz bardziej odsuwały od funkcjonariuszy milicji i bezpieczeństwa ryzyko utraty życia na służbie, to równocześnie coraz bardziej uaktualniały, a nawet przerastały, wymagania małej matury dla każdego szeregowca, gimnazjum dla każdego oficera i wyższego wykształcenia dla wyższych oficerów.

Dziś otwieramy Akademię Spraw Wewnętrznych, która będzie kształcić kierowniczą kadrę resortu a za kilka dni rozpoczną działalność dwie Wyższe Szkoły Oficerskie — Milicji i Bezpieczeństwa. Oznacza to w praktyce, że każdy nowo promowany oficer otrzymywać będzie dyplom absolwenta wyższej uczelni, a każdy absolwent Akademii Spraw Wewnętrznych — tytuł magistra. Jest to symbol zmiany, która ma zasadniczy charakter — powiedział 3 października 1972 roku Stanisław Kania, zastępca członka Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, podczas pierwszej inauguracji pierwszego roku studiów na Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie, która to uczelnia została utworzona 11 sierpnia 1972 roku.

Moment otwarcia wyższej szkoły resortu Spraw Wewnętrznych bynajmniej nie stawia Polski na szarym końcu w porównaniu z innymi krajami. Od 1969 roku istnieje Nowojorska Miejska Akademia Szkolenia Policyjnego, pierwsza tego typu uczelnia uniwersytecka w Stanach Zjednoczonych, zaś w RFN dopiero w roku 1973 utworzono

Dokończenie na str. 8—9

teatrnn.pl

Jubileusz przyjaciół

NASZ zachodni sąsiad — Niemiecka Republika Demokratyczna — obchodzi swój srebrny jubileusz. Gdy bowiem w wyniku zimnowojennych działań państw zachodnich we wrześniu 1949 roku powołana została RFN — 7 października tego roku powstała Tymczasowa Izba Ludowa, która z kolei powołała Rząd Tymczasowy oraz uchwaliła konstytucję nowego państwa. W połowie października 1949 roku NRD została formalnie uznana przez Związek Radziecki, a następnie wszystkie państwa socjalistyczne. 6 lipca następnego roku Polska i NRD zawarły w Zgorzelcu układ o wytyczeniu ustalonej i istniejącej polsko-niemieckiej granicy państwowej, uznający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej za nienaruszalną granicę pokoju i przyjaźni. Zapoczątkowało tu zupełnie nowy okres stosunków pomiędzy naszymi dwoma krajami, a równocześnie było formalnym i faktycznym potwierdzeniem uchwał Konferencji Poczdamskiej. Warto podkreślić, że na podobne uznanie Poczdamu przez RFN trzeba było czekać ponad 20 lat.

Od pierwszej chwili powstania Niemiecka Republika Demokratyczna prowadzi zdecydowaną politykę pokoju i międzynarodowej współpracy. Mimo to w pierwszych latach swego istnienia niejednokrotnie przeżywała trudne chwile. Tak się bowiem złożyło, że nie posiada ona większych zapasów surowców, a istniejący tam stosunkowo nieduży przemysł został w czasie działań wojennych poważnie zniszczony.

Jednak Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności, kierująca od początku politycznym i społeczno-gospodarczym życiem NRD, potrafiła wyprowadzić państwo na drogę szybkiego, wszechstronnego rozwoju, a zarazem zapewnić mu odpowiednie miejsce na arenie międzynarodowej.

Dzisiaj Niemiecka Republika Demokratyczna zalicza się do potęg gospodarczych świata. Otrzymując podstawowe surowce ze Związku Radzieckiego — przede wszystkim ropę, gaz ziemny, bawełnę — a także innych krajów socjalistycznych, będąc aktywnym członkiem RWPG — w ostatnich 23 latach dostarczyła krajom rozwijającym się w Afryce i Azji ponad 500 kompletnych obiektów przemysłowych, przede wszystkim przemysłu włókienniczego, w czym się od lat specjalizuje. Wciąż też rozwija się coraz bliższa współpraca z innymi krajami socjalistycznymi, m. in. z Polską. W naszym województwie widomym tego przykładem jest chociażby najbardziej nowoczesna część cementowni w Chełmie, lub kolejowe wagony piętrowe produkowane w Goerliz i Bautzen.

Ze względu na długo przeważające w krajach zachodnich tendencje zimnowojenne NRD początkowo z trudem zdobywała sobie odpowiednią pozycję międzynarodową. Do roku 1963 stosunki dyplomatyczne z NRD nawiązało tylko 13 państw. Ale dzisiaj tych państw jest już ponad 110. NRD jest członkiem wielu organizacji międzynarodowych — krajów socjalistycznych, Organizacji Narodów Ziednoczonych oraz spoza systemu ONZ. Podpisała ponad 200 międzynarodowych umów, aktywnie uczestniczy w międzynarodowych układach w sprawie zabezpieczenia pokoju.

Bolesław Bierut, wysyłając 14 października 1949 roku pismo do prezydenta Wilhelma Piecka i premiera Otto Grotewohla w związku z powstaniem NRD, stwierdził m. in.: „Naród polski wita powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która raz na zawsze zerwała ze zgubną i haniebną tradycją „marszu na wschód" i która uważa granice Odry i Nysy za granicę pokoju. Dobrosąsiedzkie stosunki polsko-niemieckie są niezbędnym wkładem w dzieło pokoju światowego".

Przyszłość pokazała, że społeczeństwo NRD, kierowane i wychowywane przez marksistowsko-leninowską partię SED, dziedzicząc tradycje walki Komunistycznej Partii Niemiec, rozwijając twórczo ideę proletariackiego internacjonalizmu, że to społeczeństwo stało się silnym ogniwem socjalistycznej wspólnoty. I że my, Polacy, po raz pierwszy w naszej tysiącletniej historii mamy na zachodzie prawdziwych przyjaciół.

w którym żyjemy

ANESTEZJA ELEKTRYCZNA

CHIRURGIA dysponuje obecnie nową bronią — elektroanestezją. Mówiono o tym wiele na ostatnim kongresie anestezjologów w Madrycie, ma to być głównym przedmiotem obrad na przyszłorocznym kongresie w Paryżu.

Próby usypiania chorych prądem elektrycznym były podejmowane już na początku bieżącego wieku, ale postęp chemii spowodował, że próby zarzucono. Okazuje się jednak, że używane współcześnie środki chemiczne nie są idealne. Wiele z nich wywołuje później różne nieprzyjemne objawy u chorych — zawroty głowy, uczucie nudności, wymioty, ból nerek. W USA stwierdzono nawet, że na 10 tys. przypadków usypiania środkami chemicznymi — jeden pacjent nie budzi się nigdy...

Nowa metoda przewiduje jednak, że początkowo trzeba zastosować klasyczne środki usypiania, a dopiero po 30 minutach włącza się impulsy elektryczne. Dwie dodatnie elektrody umieszcza się poza uszami, trzecią ujemną pomiędzy oczami. Impulsy trwające cztery sekundy, przeplatane ośmiosekundowymi przerwami, wywołuje prąd 2-3 miliamperów i 15 volt. Wywołany w ten sposób sen może trwać wiele godzin, aby go przerwać wystarczy wyłączyć prąd.

Metodą tą operowano już ponad 400 chorych. Nie stwierdzono żadnych działań ubocznych ani późniejszych przykrości. Można ją także stosować wobec chorych na serce, pijanych itd. Uczucie braku bólu występuje przez 16 godzin po operacji, w niektórych przypadkach nawet przez 48 godzin. Niestety nie udało się dotychczas stwierdzić, na jakie ośrodki mózgowe działa elektroanestezja. Być może wyświetli to przyszłoroczny kongres.

OLIMPIADA 1980

JESZCZE w październiku Międzynarodowy Komitet Olimpijski na posiedzeniu w Wiedniu ma zadecydować, gdzie odbędą się igrzyska olimpijskie w roku 1980. O prawo ich organizacji ubiegają się dwa miasta: Moskwa i Los Angeles. Za dwa lata odbędą się one w Montrealu, zgodnie więc z tradycją następne powinny odbyć się na innym kontynencie. A ponieważ ze względu na wielkie nakłady finansowe i olbrzymie trudności organizacyjne jest tylko jedna kandydatura spoza kontynentu amerykańskiego, sprawa wydaje się prosta.

Baza sportowa Moskwy już w tej chwili jest imponująca: łącznie ponad półtora tysiąca obiektów sportowych, w tym 69 stadionów i 22 kryte baseny. Kompleks sportowy na Łużnikach zajmuje powierzchnię 180 ha, na nim 140 nowoczesnych obiektów, w tym stadion na 103 tys. widzów. Można tam przeprowadzać jednocześnie konkurencje w 26 dyscyplinach, oglądać je może 160 tys. widzów. Zeszłoroczna uniwersjada była próbą generalną która wypadła znakomicie.

W tej chwili działa już w Moskwie Komitet Przygotowawczy, który m. in. przygotowuje jeszcze szeroki program inwestycyjny i inne przedsięwzięcia, których realizacja rozpocznie się natychmiast po przychylnej decyzji MKOl.

Tak więc powstanie sala dla potrzeb uniwersalnych na 50 tys. miejsc. Dom prasy obejmie hotel oraz urządzenia techniczne, obejmujące 500 połączeń dalekopisowych i możliwości przeprowadzania 6 tys. rozmów międzynarodowych w ciągu godziny. Wszystkie konkurencje byłyby przekazywane przez telewizję kolorową. Wioska olimpijska to 4 wysokościowce z jedno i dwuosobowymi pokojami, klubem, salą koncertową na 2 tys. miejsc, centrum telefonicznym, garażami itp.

Przewiduje się, że codziennie w okresie olimpiady Moskwa będzie gościć około pół miliona osób, z tego połowę stanowić będą cudzoziemcy. Znajdą oni wygodne pomieszczenia w już istniejących czy nowych hotelach oraz domach akademickich, zwolnionych w sierpniu przez studentów, w internatach szkolnych, 20 przewidzianych do wybudowania kempingach. Swego rodzaju atrakcją będzie 15 restauracji regionalnych, zbudowanych wokół Moskwy przez 15 republik związkowych, każda według własnej architektury i z własną, regionalną kuchnią. Amatorzy zwiedzania kraju będą mieli kilkanaście tras, przygotowanych pod każdym względem w różnych regionach kraju. Wycieczki dla młodzieży będą szczególnie tanie.

DRZEWA UMIERAJĄ STOJĄC

WE francuskim mieście Rouen toczy się dość niezwykły proces. Dyrekcja lasów państwowych oskarżyła władze miejskie o niedostateczny nadzór nad działalnością przemysłu, wskutek czego w ciągu kilku godzin uległo zniszczeniu 60 tys. sosen w lesie na południe od miasta.

Jak się okazuje miejscowy przemysł wytwarza olbrzymie ilości dwutlenku siarki, który po prostu ulatnia się w powietrze. Zatrucie atmosfery tym gazem jest najwyższe we Francji, a jedno z najwyższych na świecie — 145 mikrogramów w jednym metrze sześciennym powietrza. Dawka śmiertelna dla człowieka wynosi 20 miligramów w metrze sześciennym, na zniszczenie drzewa wystarczy dziesięć tysięcy razy mniej. Według ostatnich badań w okolicy Rouen 200 ha lasu jest już częściowo zniszczone, a jeżeli proces wytwarzania dwutlenku siarki nie zostanie powstrzymany, w ciągu 25 lat zniknie wszelka flora na obszarze 3 tys. ha wokół miasta.

Poważnie zagrożona działaniem trującego gazu jest także 156-metrowa wieża słynnej katedry gotyckiej. I ją czeka tragiczny los, jeżeli zatruwanie atmosfery nie zostanie powstrzymane — po prostu mury zawalą się.

PŁYWAJĄCE KARAWANY

NAJWIĘKSZY dziennik włoski „Corriere della Sera" zamieścił artykuł pt. „Statki wycieczkowe czy pływające karawany pogrzebowe", w którym czytamy m. in.:

Przepisy bezpieczeństwa, dokładne instrumenty nawigacyjne, komórki związków zawodowych — tego wszystkiego nie ma na pokaźnej części statków wycieczkowych i handlowych, wynajmowanych przez towarzystwa czartowe różnych krajów. Wiele z tych statków to właściwie karawany pogrzebowe, wiozące załogi i pasażerów na cmentarze, a częściej na dno morskie. Na 2234 statki pływające pod banderą Liberii 271 powinno być natychmiast zlikwidowanych, na 1337 panamskich przynajmniej 624.

Kapitanowie tych pudeł w gruncie rzeczy nie posiadają żadnego autorytetu wśród swoich załóg, które wykonują ich rozkazy bardzo niechętnie i najczęściej tylko pod groźbą użycia broni. Szacuje się, że około 35 tys. marynarzy żyje w trudnych do opisania warunkach. Zatonięcie takiego statku jest doskonałym interesem dla armatora, który inkasuje wcale pokaźną sumę ubezpieczeniową. Nic więc dziwnego, że lista okrętów, które toną w niewyjaśnionych okolicznościach, wciąż się wydłuża.

HITLER W LONDYNIE?

W OSTATNICH latach w państwach zachodnich, nie tylko w RFN, niepomiernie wzrosło zainteresowanie Hitlerem. Mówi się nawet o hitlerowskiej fali, czy hitlerowskiej nostalgii. Autorzy, wydawcy, producenci filmów ze względów czysto komercjalnych coraz częściej nawiązują do tego tematu. Ktoś zauważył, że w ciągu 25 lat po śmierci Napoleona ukazało się kilkaset pozycji o cesarzu, tymczasem Hitlerowi w ciągu 25 lat poświęcono — rzekomo — mniej niż 20 pozycji. Szwajcarski historyk Fest twierdzi, że autorzy dopiero teraz zaczynają uwalniać się od „kompleksu ocen moralnych na rzecz myślenia kategoriami racjonalnymi".

Ostatnio ukazała się książka Roberta Payne „Hitler" objętości 570 stron. Autor m. in. twierdzi, że zimą 1912 roku Hitler przebywał w Anglii „krążąc jako samotny i nieznany duch po dokach i magazynach morskich" — stąd jego wniosek, że do końca życia czuł pewien respekt przed Anglikami. Warto dodać, że jak dotychczas żaden z historyków nic nie pisał o rzekomym pobycie przyszłego dyktatora nad Tamizą.

TAJEMNICE PODATKOWE

W JAPONII istnieją 504 biura, w których obywatele najpierw składają co roku deklaracje podatkowe, a potem płacą podatki. Według przepisów, wydanych jeszcze w 1947 roku, każde biuro ma obowiązek publikować listę tych podatników, których dochód roczny przekracza 10 milionów jenów (około 35 tys. dolarów) Jak wynika ze statystyki za rok 1973, na 100 podatników aż 97 uzyskało taki dochód ze sprzedaży terenów budowlanych.

Człowiekiem, który zadeklarował największy dochód w ub. roku, był 82-letni Hasagawa. Twierdzi, że zarobił 5 miliardów jenów. Przyznał się, że ten specyficzny rekord osiągnął dzięki temu, iż władze miejskie Tokio zakupiły od niego 85 tys. metrów kwadratowych terenów budowlanych.

Hasagawa był właścicielem średniego przedsiębiorstwa handlującego drzewem zatrudniając 82 ludzi. W roku 1942 zakupił 400 tys. metrów kwadr. terenów w pobliżu stolicy, urządzając tam swoje magazyny. Korzystając z tego, że szybko rozrastająca się stolica wciąż potrzebuje dalszych przestrzeni, sprzedaje kolejno swoje tereny, które nie są mu już potrzebne, ponieważ ze względu na swój wiek zlikwidował przedsiębiorstwo.

Ale opinia publiczna poprzez liczne głosy w prasie ostro zaprotestowała przeciwko obowiązującym przepisom. Wskazując na przypadek Hasagawy wylicza się, że gdyby on zarobił taką sumę dzięki pracy zawodowej lub chociażby działalności handlowej, musiałby zapłacić 3,8 mld. jenów, natomiast w obecnej sytuacji płaci tylko 800 milionów. Wynika z tego, że państwo premiuje go za spekulację.

JAK ZARABIAĆ MILIONY?

NAJLEPIEJ być bokserem. I to dobrym bokserem, który w ten czy inny sposób — nie zawsze zresztą moralnie uczciwy — zdoła wdrapać się na szczyt światowej drabiny z tytułami. Takimi bokserami są Cassius Clay, używający nazwiska Muhammed Ali, były mistrz świata, oraz George Foreman, aktualny mistrz świata wszechwag.

Do ich spotkania musiało dojść, albowiem Clay po zwycięstwie w styczniu nad Joe Frazierem uzyskał znowu prawo walki o tytuł. Rzecz jednak w tym, że żadnemu z zawodników nie spieszyło się do walki. Każdemu, kto chciał się podjąć zorganizowania meczu, odpowiadali identycznie: nie rozpoczną pertraktacji, jeżeli nie będą mieli gwarancji, że każdy z nich za spotkanie otrzyma przynajmniej 5 milionów dolarów.

W tej sytuacji o organizatora nie było łatwo. Zakulisowe rozmowy i przetargi trwały siedem miesięcy, chodziło przecież o sumę, jakiej nigdy jeszcze nie wypłacono żadnemu bokserowi. Po zwycięstwie nad Frazierem Ali otrzymał „tylko" 2,5 mln dolarów. Wreszcie roli organizatora podjął się inżynier Henry Szwartz z Brooklynu, właściciel małej firmy specjalizującej się w nadawaniu pewnych audycji telewizji w obwodzie zamkniętym, a więc dostępnym tylko dla tych telewidzów, którzy zapłacą za bilety. Szwartz jest Murzynem, podobnie jak obaj zawodnicy. Spędził on cztery lata w więzieniu za podobno przypadkowe zabicie człowieka.

Szwartzowi udało się pozyskać wspólników czy finansistów, którzy jednak nie chcą ujawnić swoich nazwisk. Wiadomo tylko, że półtora miliona daje właściciel także zamkniętego obwodu telewizyjnego w Anglii, niejaki John Daly. Szwartz liczy, że w USA i Europie znajdą się 3 miliony osób, które za oglądanie bezpośredniej transmisji zapłacą po 20 dolarów. Obu zawodnikom na koszty treningu zapłacił przed kilku tygodniami po 100 tys. dolarów. Suma ta jednak nie wystarczyła żadnemu z nich. Zażądali podwyżki. Szwartz odmówił, przynajmniej na razie, i to było prawdziwą przyczyną odroczenia meczu w Kinszasie.

CZTERY REFLEKSJE O WOJSKU I ŻOŁNIERZACH

Alojzy Sroga

NIE mogę się wyprzeć: mam pewne skrzywienie, czy — mówiąc bardziej uczenie — swego rodzaju deformację. Gdy tylko przymknę oczy i pomyślę o żołnierzu polskim, zjawia mi się on natychmiast w takiej postaci, w jakiej zapamiętałem go w latach 1944—1946, kiedy i sam nosiłem mundur.

A więc — oczywiście drelich. Spłowiałe owijacze, pas parciany, tylko z końcówką skórzaną. Do tego charakterystyczny „mieszek", czyli plecak-worek. Koszula lniana, z troczkami pod szyją, bez jednego guzika. No i kamaszki — „kierzowe", lichutkie, szybko drące się i namakające wodą.

Taki był zewnętrzny obraz żołnierza Ludowego Wojska Polskiego, żołnierza wkraczającego do Lublina w lipcowe dni roku 1944, czy też walczącego na wiślanych przyczółkach pod Puławami, Dęblinem, w widłach Wisły i Pilicy, w Warszawie.

Skromny był ekwipunek żołnierski, niezbyt bogata technika. Ledwie 3000 samochodów (w zaokrągleniu) posiadała I armia Wojska Polskiego. Nogi piechura były najpewniejsze i najskuteczniejsze w marszu do zwycięstwa. A jednak to polski piechur, obok radzieckiego, doszedł do Berlina i Łaby, a nie żołnierz armii zachodnich, wyposażony znacznie lepiej, nie mający wszakże tej bojowej wytrwałości, ludzkiej wytrzymałości, uporu i hartu.

Ciągle, z uporem piszę i mówię o tym, jak był odziany i żywiony nasz żołnierz. Że mimo ubóstwa dokonał czynu wielkiego. I że porównując tamto wyekwipowanie żołnierza z dzisiejszym — wyraźniej widać przebytą w ciągu lat trzydziestu drogę.

Napisałem, że to pewna deformacja psychiczna. Niełatwo jej się pozbyć. Rok po roku jednak i tamto skrzywienie musi odchodzić na daleki plan, ulegać stopniowemu zamgleniu.

Dwukrotnie w ciągu minionych dwu lat minister Obrony Narodowej, gen. armii Wojciech Jaruzelski, zaprosił liczną grupę twórców — pisarzy, kompozytorów, aktorów, plastyków, naukowców — na praktyczny pokaz czym jest i jakie jest wojsko współczesne. W roku ubiegłym był to jeden z poligonów Pomorskiego Okręgu Wojskowego, na którym przeprowadzono pokaz skomplikowanych ćwiczeń. W roku bieżącym, na kilka dni przed defiladą warszawską, nieco mniejszemu gronu pokazano niektóre wycinki działalności Wojskowej Akademii Technicznej, oraz zaprezentowano zgrupowanie przeddefiladowe.

Z obu tych spotkań zebrało się trochę refleksji. Oto one.

PIERWSZA — PRZEPRAWA

Na różnych środkach przeprawowych forsowaliśmy ongiś Wisłę, Odrę i pomniejsze rzeczki. Trafiały się amfibie i promy, ale powszechne były drewniane „pychówki". Służyły także prymitywne tratwy, zbite ze starych wierzei stodół i drzwi domów. Wszystko, co unosiło się na wodzie było dobre.

W czasie zeszłorocznych pokazów patrzyliśmy na współczesną bitwę pancerną i obronę przeciwpancerną.

— Wojna, jak wojna — orzekliśmy zgodnie, oficerowie frontowi.

Ale rozdziawialiśmy gęby przy kilku innych, pozornie mniej ważnych faktach. Forsowanie dużej przeszkody wodnej. Pływające czołgi, którym nad powierzchnię wystaje jedynie peryskop.

To jeszcze mało. Oto wjeżdża do wody jakby uskrzydlony wielki czołg. Po przebyciu kilkudziesięciu metrów otwiera się na nim wielka platforma. Na nią może wjechać następny czołg, lub inny ciężki sprzęt. I szybko pchają się przez wodę na drugi brzeg.

Z boku, jakby niespodziewanie, wypływa na wodę wielkie przęsło mostowe. Jeszcze jedno i jeszcze jedno, dosłownie w ciągu kilku minut jest gotów kilkusetmetrowy most. Rusza przezeń pułk pancerny. Ze sztandarem, z wozem bojowym dowódcy.

Zatkało nas wszystkich. To tak może być?

Minister Obrony Narodowej gen. armii Wojciech Jaruzelski zaprosił w roku bieżącym grupę twórców na zgrupowanie przeddefiladowe. Na pierwszym planie — obok ministra aktor Wojciech Siemion, z parasolką Jan Dobraczyński, pierwszy z prawej gen. bryg. Jan Piróg.

Z tyłu — łomot, grzmot, czarno na niebie. Wyskoczyły nagle na niezwykle niskim pułapie ciężkie ważki, jazgocące karabinami maszynowymi. To jednostka bojowych śmigłowców, uchylających się radarowej kontroli i wykonujących nieoczekiwany nagły atak, połączony z desantem...

I jeszcze wspaniały sprzęt saperski, mosty i kopaczki, których użycie jest zresztą nie tylko wojskowe, również i cywilne.

DRUGA — LASERY

Komendant Wojskowej Akademii Technicznej, znakomity naukowiec już światowej sławy gen. dyw. prof. dr Sylwester Kaliski, w dwudziestominutowym przemówieniu potrafił fascynować nie tylko tym, czego dokonano w dziedzinie budowy laserów, tej polskiej specjalności, ale i w dziedzinie wytwarzania plazmy. Mówił o badaniach naukowców i wielkiej dyscyplinie badawczej zespołów. Pozornie różne elementy — dyskusyjność w badaniach naukowych i dyscyplina — nie okazały się antagonistyczne. I jeszcze króciuteńka wizja przyszłości. Między innymi o bezpośrednim kontaktowaniu się mózgów ludzkich na odległość bez użycia fal radiowych...

Potem poszliśmy oglądać wielkie i „podręczne" komputery. Któryś z aktorów grzecznie potakiwał oprowadzającemu nas pułkownikowi:

— Rozumiem, rozumiem...

Zdenerwował się Adam Hanuszkiewicz.

— Nie wygłupiaj się i nie opowiadaj, że rozumiesz...

Później wizyta u laserowców. Stąd jedna zapamiętana, ale ważąca informacja. Dzięki tym polskim, WAT-owskim laserom udało się już w Polsce dokonać przyklejenia rogówki oka w... 50 tysiącach wypadków. Słowem, lasery zeszły na ziemię, do codziennej niemal praktyki leczniczej.

Wszyscy jednak uczestnicy odetchnęli z ulgą, gdy zetknęli się z tak swojskimi widokami, jak samochody. Coś znajomego, coś pojmowalnego...

Tu — oprócz licznych i skomplikowanych badań pojazdów wojskowych zgoła cywilne zastosowanie: wszechstronne badania najnowszych typów autobusów „san". Jedną ręką przechyliłem tego giganta, ustawionego na odpowiednich rolkach. Bada się tu wszelkie jego parametry, dostarcza materiał do dalszych poprawek...

A obok poduszkowiec, który — być może już wkrótce — znajdzie zastosowanie w lubińsko-głogowskim zagłębiu miedziowym do celów bardzo, ale to bardzo praktycznych.

TRZECIA — GEOMETRIA SKRZYDEŁ

Kiedyśmy już trafili do zgrupowania przeddefiladowego — znów zwięzła, krótka, miejscami dowcipna, błyskotliwa informacja dowódcy lipcowej parady, gen. dyw. Włodzimierza Oliwy, dowódcy Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Uśmiechnąłem się szeroko w pewnej chwili, potem zresztą tłumacząc ten mój uśmiech generałowi Oliwie.

Mówił on, że na defiladzie w dniu 22 lipca będą po raz pierwszy zaprezentowane samoloty o zmiennej geometrii skrzydeł. Że jesteśmy jednym z nielicznych krajów świata, który tę sztukę praktycznie rozwiązał.

Mój zaś uśmiech wziął się z tego, że przed kilkoma dniami, po raz pierwszy po trzydziestu pięciu latach, przeczytałem znów książki Janusza Meissnera — „Szkołę orląt" i „Skrzydła nad Arktykiem". W tej drugiej właśnie wychowankowie szkoły orląt, polscy konstruktorzy i mechanicy, uporali się ze zmienną geometrią skrzydeł.

Jeszcze kilka dni temu czytałem tę rzecz jako czystą fantazję.

A teraz masz — dokładnie prawda!

CZWARTA — ŻOŁNIERZE

Poszliśmy do pododdziałów.

Pisałem o tamtym żołnierzu z lat czterdziestych, a patrzyłem na znakomite wyposażenie i umundurowanie „czerwonych beretów". Wśród nich wielu, którzy niedawno wrócili z Bliskiego Wschodu po wypełnieniu swej ONZ-owskiej misji.

Adam Hanuszkiewicz mówił o teatrze, a Wojciech Młynarski o swoim widzeniu wojska, gdy on jako podchorążak przed kilkunastoma laty odbywał swą żołnierską powinność. I że jeszcze może napisze piosenkę do śpiewania przez kompanię wojska. A Wojtek Siemion bezinteresownie podjął się roli konferansjera-kpiarza. Wmieszał się w żołnierski tłum, wygłaszał dramatyczny wiersz o warszawskiej „Nike" i zaprezentował dwa, no... swobodne dowcipy

Dobrze, powie ktoś, „czerwone berety" to formacja elitarna, chłopcy po maturach. Z dziesiątków corocznych spotkań autorskich w wojsku zawsze jednak wynoszę to samo wrażenie: inteligentny, wykształcony stał się nasz żołnierz, dokładnie tak samo, jak oświecone, politycznie dojrzałe stawało się całe nasze społeczeństwo.

Jak dokładnie sprawdza się to pozornie sloganowe powiedzenie, że „lud z wojskiem, wojsko z ludem". Żołnierze są częścią składową tego społeczeństwa, jego — powiem to bez cienia kurtuazji — znakomitą wizytówką.

Na chwilę jeszcze pragnę wrócić do Wojskowej Akademii Technicznej, którą, nie kryję, jestem zafascynowany. Jest to uczelnia o najwyższej sprawności studiów, sprawności sięgającej 80 procent. Jest to także uczelnia, świadcząca bodaj najwięcej gospodarce narodowej. Prężność, młodość, ambicja i dyscyplina sprzęgły się tu zgodnie w jedno.

I myślę, że niesłychanie symptomatyczna zarówno dla tej młodej (liczącej 23 lata) uczelni, jak i dla wojska w ogóle, jest sylwetka komendanta WAT, generała dywizji prof. dr. hab. inż. Sylwestra Kaliskiego. Pozwolę sobie przytoczyć pewne elementy życiorysowe, będące ilustracją najpiękniejszej kariery życiowej, ale także kariery wojska.

Urodził się Sylwester Kaliski w roku 1925, w Toruniu, jako syn zawodowego podoficera. Do wojska wstąpił jako mgr inż. w 1950. W 1954 r. w WAT odbyła się obrona dwóch pierwszych prac doktorskich. Jednej z nich bronił kpt. mgr inż. Sylwester Kaliski. Pierwszą w WAT pracę habilitacyjną, w roku 1957, obronił ppłk. dr inż. Sylwester Kaliski. W latach sześćdziesiątych — pułkownik profesor kieruje Katedrą Drgań i Dynamiki Konstrukcji.

W roku 1967 — generała brygady profesora Sylwestra Kaliskiego mianowano komendantem Wojskowej Akademii Technicznej. W roku 1972 zostaje awansowany do stopnia generała dywizji. Kilkakrotnie wyróżniany dorocznymi nagrodami ministra Obrony Narodowej, trzykrotnie — w latach 1964, 1970, 1974 — Nagrodami Państwowymi I stopnia. Poseł na Sejm z okręgu katowickiego, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Nauk.

Myślę, że ten jeden skrótowo przedstawiony życiorys pozwala dostrzegać inność wojska ludowego, gdy porównuje się je z przedwojennym.

I co tu kryć — to zapamiętane przeze mnie wojsko lat 1944—1946 zaczyna po prostu stanowić tylko przyblakłe tło.

Już tylko historyczne. Na szczęście.

Kamena str. 3

16 TYS. ABSOLWENTÓW

Dokończenie ze str. 1

ny. Stąd też i problematyka badawcza zakładów naukowych, kształcenie kadr, otwieranie nowych kierunków studiów były zawsze związane z tym hasłem. Sygnałem były potrzeby województwa — społeczne, gospodarcze czy kulturalne.

— Uniwersytet jest już nie najmłodszą, ale najstarszą uczelnią powstałą w Polsce Ludowej. Jaka jest jego waga na mapie oświatowej, naukowej czy wychowawczej województwa oraz kraju?

— Rozumiem, że chodzi zarówno o samą uczelnię jak i o to, co z niej wyrosło. Jeżeli się nie mylę, Lublin pod względem liczby studentów oraz skoncentrowanego tu potencjału badawczego jest szóstym ośrodkiem w kraju. To jest chyba bardzo dużo dla województwa, które przed wojną mogło się „poszczycić" 25 procentami analfabetów. Nowy rok Uniwersytet rozpocznie z co najmniej — bo rekrutacja jeszcze nie jest zakończona — 14 tysiącami studentów oraz 2,5 tysiącami pracowników. Łącznie około 17 tysięcy — największe skupisko ludzi w województwie. Największy organizm społeczny, bardzo złożony. Złożoność wynika z faktu, że przecież w tym Uniwersytecie kształcimy specjalistów na prawie 30 kierunkach studiów. To zarazem wyznacza rangę uczelni, która prowadzi kierunki eksperymentalne, związane z potrzebami gospodarki narodowej, specjalistyczne dla oświaty, administracji. Daliśmy już około 15 tys. absolwentów, przede wszystkim Lubelszczyźnie, ale także daleko poza jej granice. A więc wnieśliśmy jakiś określony wkład w budowę Polski Ludowej, w kształcenie inteligencji, która swoje umiejętności oddaje krajowi, a jest to inteligencja urodzona i wychowana w tejże Polsce Ludowej. Poprzez tych ludzi Uniwersytet oddziałuje przecież na praktykę życia codziennego. Te stwierdzenia są jakby uzupełnieniem odpowiedzi na pierwsze pytanie.

— Jak Pan Rektor widzi współudział naukowców i studentów w życiu miasta — i co należałoby uczynić, aby był on jeszcze bardziej powszechny i znaczący?

— Odpowiedź na to pytanie ma swoje blaski i cienie. Uczelnia nie jest zasklepiona w sobie, interesują ją sprawy miasta. Ale gdyby przeciętny lublinianin chciał ocenić współudział pracowników i studentów w tym, czym żyje miasto to nie uznałby na pewno tego współudziału za wystarczający. Nasi pracownicy i studenci działają w organach przedstawicielskich, są członkami różnych komisji w radach narodowych, towarzystw naukowych i organizacji społecznych, prowadzą szeroką akcję odczytową, blisko współpracują z Kuratorium, są lektorami komitetów Wojewódzkiego i Miejskiego PZPR, biorą udział w życiu kulturalnym, publikują książki związane z regionem. Ale z drugiej strony np. „Kamena" nadmiaru współpracy ze strony tych środowisk nie odczuwa. W różnych dyskusjach, jakie się u nas toczą, chciałoby się częściej i głośniej słyszeć głosy ludzi nauki — myślę tu zresztą o całym lubelskim środowisku naukowym. To samo można powiedzieć o studentach. Widzimy tę młodzież z okazji np. Kozienalii, miasto jakoś traci pewien koloryt, gdy studenci wyjeżdżają na wakacje, a młodnieje na przełomie września i października. Ale gdybyśmy znów zapytali tzw. przeciętnego mieszkańca Lublina, czy czuje on obecność tak dużego środowiska studenckiego, obawiam się, że odpowiedź nie byłaby jednoznaczna. Nasze organizacje młodzieżowe podejmują próby wyjścia z uczelni do miasta z różnymi zespołami artystycznymi, ale to jeszcze mało. Podobnie jeżeli chodzi o imprezy sportowe. Moim zdaniem powinno się w mieście silniej odczuwać, że mamy liczne i prężne środowisko akademickie, grupujące 25 tysięcy studentów, a bez zaocznych 15 tysięcy.

— Kadra naukowa uczelni to w coraz większym stopniu ludzie wykształceni w Polsce Ludowej. Jak można ją ogólnie scharakteryzować?

— Chciałbym uzupełnić, że w coraz większym stopniu są to wychowankowie naszej uczelni. To ma swoje i dobre i złe strony. Zacznijmy od dobrych. Kadra ta jest bardzo związana z naszą rzeczywistością, jest współuczestnikiem i współtwórcą tej rzeczywistości, oddała swoje siły krajowi, aby służyły jego postępowi, jego rozwojowi. Skład socjalny tej kadry jest także coraz lepszy, bardzo wielu ludzi wywodzi się ze środowisk robotniczych i chłopskich. Powiedziałem, że coraz więcej jest naszych wychowanków. Jedni powiedzą: zasklepiacie się we własnym sosie, nie dopuszczacie świeżego powietrza, nie wiecie, co się dzieje na zewnątrz, ten człowiek tylko u was zdobył magisterium, doktorat, docenturę i do końca życia będzie siedział na jednym, bezpiecznym miejscu. Gdyby tak było rzeczywiście, byłoby źle. To, że mamy wśród kadry w dominującym procencie naszych wychowanków, ma swoje plusy. Są oni emocjonalnie związani z naszą uczelnią, znają jej potrzeby, wiedzą z jakiego punktu startowaliśmy, w jakim się znajdujemy i jaka jest nasza perspektywa, oddają bardziej od innych swoje siły i umiejętności rozwojowi uczelni, wykonywaniu przez nią swoich zadań. Nie chcemy być uniwersytetem prowincjonalnym, oderwanym od tego, co się dzieje w placówkach naukowo-badawczych w kraju i na świecie. Chcemy współuczestniczyć w tworzeniu nauki, partycypować w rozwoju nauki polskiej i mieć kontakt z nauką światową. Stąd też nasza kadra oraz częściej korzysta ze stażów. Coraz liczniejszą młodą kadrę wysyłamy na staże krajowe, po doktoracie na staże zagraniczne. Wpływa to bardzo korzystnie na poziom wiedzy naszych pracowników, a jednocześnie pozwala konfrontować własne metody pracy i osiągnięcia z innymi. I to nam pozwala doskonalić nasze warsztaty pracy. Przyjmując kogoś do pracy, stawiamy mu bardzo wysokie wymagania, a w parze z tym wcale nie idą zarobki. Stąd też wiemy, że podejmujący pracę w uczelni rzeczywiście chcą się poświęcić nauce.

— Wciąż narzeka się, że absolwenci wyższych uczelni nie są należycie przygotowani do pracy praktycznej, że wpaja im się za dużo teorii. Także i na to, że w wielu dziedzinach naszego życia wyposażenie zakładów pracy jest dużo lepsze i nowocześniejsze, niż zakładów naukowych. Jakie są perspektywy, aby UMCS mógł nadrobić narosłe w latach ubiegłych opóźnienia?

— Zacznę od drugiej części pytania. Pamiętam np. taki fakt: szkoliliśmy studentów na elektronowej maszynie liczącej UMC-1, a takiej przestarzałej maszyny już w żadnym zakładzie pracy nie było. Nasz absolwent z dyplomem specjalisty z zakresu maszyn cyfrowych idąc do przemysłu trafiał na maszyny typu Odra no i musiał się dodatkowo przeszkalać. To było związane z niedoinwestowaniem szkolnictwa wyższego. Ale od dwóch, trzech lat następują bardzo wyraźne zmiany, budżet na badania naukowe wzrasta, na wyposażenie naukowe także. Jednak nie jest rzeczą prostą odrobienie zaległości i trochę potrwa, zanim zbliżymy się do warunków, w jakich potem nasz absolwent będzie pracował. Idzie temu naprzeciw przemysł, w porozumieniu z którym organizujemy praktyki dla studentów w takich warunkach, w jakich przyjdzie im potem pracować. I chociaż w wyposażeniu Uniwersytetu jest jeszcze wiele do zrobiena, odczuwamy już wyraźną poprawę.

A teraz pierwsza część pytania. Nad programami studiów wciąż trwają prace. Jaka jest ogólna tendencja? Skrócenie studiów, usunięcie tego, co nie jest przydatne ani dla rozwoju teoretycznego, ani dla praktyki. Zmniejszenie ilości egzaminów na rzecz komasacji przedmiotów, a nie rozdrabniania nauki na przedmiociki i ciągłe egzaminy czy kollokwia, co naturalnie działało ujemnie na system nerwowy studenta. I wreszcie bliższy kontakt z praktyką. W tych dyskusjach programowych poza przedstawicielami nauki biorą udział także ludzie praktyki. Ale oprócz punktów stycznych są tu także sprawy krzyżujące się. Nadmiernie upraktycznione studia nie są najlepsze, bo nigdy przecież nie wiemy, czy kształcąc dzisiaj pracownika w określonej specjalności, będziemy go za dwadzieścia lat widzieli w tej samej specjalności. Powstają nowe zawody, nowe dyscypliny naukowe, nowe zadania gospodarczo-społeczne. Trzeba dać młodemu człowiekowi ogólne przygotowanie, które by mu pozwalało łatwo adaptować się do nowych potrzeb, do nowych zadań.

Rektor UMCS prof. dr. hab. Wiesław Skrzydło

Fot. J. Huzar

— Tu chyba trzeba sięgnąć także do szkół średnich...

— Naturalnie, my przecież jesteśmy nadbudową tych szkół. Reformowany jest zresztą cały system oświaty. Jest wszędzie tendencja, aby się zdecydowanie przeciwstawić zbyt wąskiemu specjalizowaniu, bo potem są kłopoty z zatrudnieniem, albo z przekwalifikowaniem się.

— Czy nie obawia się Pan Rektor, że w związku z przesunięciem egzaminów na koniec roku, pewna grupa studentów będzie leserowała nie pół roku, ale cały rok?

— Istnieje tego rodzaju niebezpieczeństwo. Ale — dla przykładu — przed rokiem wprowadzono zasadę, że egzaminy poprawkowe można składać dwa razy, nie raz jak poprzednio. I też obawiano się, że to będzie jakby zachętą do lenistwa, lekceważenia obowiązków przez studentów. Te obawy nie potwierdziły się. Nam zależy, aby gospodarka narodowa otrzymała określoną liczbę fachowców. Nie jesteśmy zainteresowani, aby studentom utrudniać naukę i wejście w życie. Przecież raz może się młodemu człowiekowi nie udać z różnych powodów psychicznych, rodzinnych, mieszkaniowych itp. Trzeba mu dać szansę. Jeżeli za drugim razem udowodni, że umie, to nikt tu nic nie traci — ani ja, ani uniwersytet, ani gospodarka, ani tym bardziej student. Muszę powiedzieć, że jednocześnie został wprowadzony system nagród, premii pieniężnych, dla studentów wykazujących się dobrymi wynikami. Jego oddziaływanie już się wyraźnie uwidoczniło.

— Ludzie starsi byli najczęściej tymi premiami zaszokowani, w czasach, gdy oni studiowali, nikomu się o tym nawet nie śniło...

— Przecież każdy z nas też otrzymuje premie za dobrą pracę, a dla studenta nauka to praca. Ponadto przy ocenie tej sprawy nie bierze się pod uwagę, że do tej pory student otrzymywał niewysokie stypendium pieniężne, ale jednocześnie miał bezpłatny dom studencki, dostawał za 8,80 zł całodzienne utrzymanie. W gruncie rzeczy nie zdawał sobie często sprawy, że za jego mieszkanie, za część wyżywienia płaci ktoś inny — społeczeństwo. To nie było wychowawcze. Teraz otrzymuje więcej ale za wszystko sam płaci. Musi uczyć się codziennego rachunku, żyć z ołówkiem w ręku. Gdy po studiach zacznie pracować, nie będzie miał bezpłatnego mieszkania, opłacanego za grosze utrzymania. Musi sam gospodarować swoją pensją. I tam też spotka się z systemem premiowym, niech więc już dzisiaj uczy się, że opłaca się pracowitość, systematyczność, dążenie do coraz lepszych wyników. Niech nawyk osiągnięty w czasie studiów procentuje w czasie pracy zawodowej. W związku z tym okres, w którym wystarczało uzyskanie tzw. stopni państwowych, czyli trójek, zaczynamy mieć poza sobą, a może już mamy. Na dyplomie teraz jest ocena, co w praktyce ma swoje znaczenie, są premie, są różne formy wyróżnień, które stosują także organizacje młodzieżowe — w sumie to spełnia dobrą rolę wychowawczą.

— Czy uczelnia posiada konkretne zapotrzebowania na fachowców z naszego i innych województw, dostosowane już do szczególnie szybkiego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju i perspektywy jeszcze szybszego tempa oraz bardziej wszechstronnych potrzeb?

— One są, tylko można zapytać, na ile dokładne. Mamy „odbiorców", którzy są w stanie wskazać dokładne potrzeby co do ilości w poszczególnych latach. Tak jest w przypadku Kuratorium i tu współpraca układa się najlepiej. Niestety, nie możemy tego powiedzieć o innych dziedzinach życia, system planowania takich zapotrzebowań jeszcze nie jest najlepszy. Za mało uwzględnia się fakt, że za pięć czy dziesięć lat wejdą do produkcji zakłady, których jeszcze nie ma na mapie, ale szkolić trzeba już dzisiaj, bo przecież skompletowanie kadry, literatury, aparatury, opracowanie programu, uzyskanie pomieszczeń, rekrutacja — tego wszystkiego nie da się załatwić w ciągu dwóch, często nawet trzech lat. Np. powstanie u nas zagłębie węglowe. Z rektorem WSI rozmawialiśmy, że już dzisiaj powinniśmy wiedzieć, że za lat np. pięć potrzeba tylu a tylu różnych specjalistów dla potrzeb górnictwa, zresztą także dla innych dziedzin życia. Uruchomienie prostszych przecież studiów romanistyki, germanistyki czy psychologii zajęło nam jednak kilka lat, a co mówić o kierunkach technicznych? W sumie zapotrzebowania, które otrzymujemy, są tylko w przybliżeniu trafne, a nie takie, jakie byśmy sobie życzyli. My wprawdzie możemy powiedzieć, że np. w roku 1980 będziemy kształcili 50 matematyków, ale nie możemy powiedzieć, czy to będzie za dużo czy za mało. Kształcimy przecież dla kogoś, dla pokrycia jakichś potrzeb, a nie dla własnej przyjemności.

— Buduje się gmachy rektoratu, fizyki i prawa. Jakie są dalsze perspektywy, zwłaszcza jeżeli chodzi o rozładowanie tłoku w domach akademickich?

— Domy studenckie to najtrudniejszy problem całego ośrodka lubelskiego. Napór społeczny na wyższe uczelnie jest tak duży, że rozszerzamy przyjęcia wprost do nieprzyzwoitych rozmiarów. W UMCS w tym roku rozpocznie studia przynajmniej 350 sób powyżej planu i to tylko na studiach stacjonarnych — 2100 zamiast 1700. Ale powiedzieliśmy sobie, że przyjmiemy wszystkich kandydatów pochodzenia robotniczego, chłopskiego i nauczycielskiego, którzy zdali egzamin. Tych, którzy zdali dobrze, a dla których formalnie zabrakło miejsc. I tych, którzy na to zasługują z różnych względów. Stąd też procent mieszkających w domach akademickich nie powiększa się tak, jak sobie tego życzymy i to mimo stałych inwestycji. Nie byliśmy

nawet w stanie „rozluźnić" pokojów, w których zamiast trzech planowanych miejsc trzeba było utworzyć sześć.

Dzielnica akademicka w swoim obecnym kształcie jest niemal po brzegi wypełniona, nie możemy jej zepsuć natłokiem dalszych budynków. Sprawę domów studenckich rozwiązujemy globalnie dla całego Lublina. W każdym domu zbudowanym przez jedną uczelnię, procentową liczbę miejsc — zależnie od ogólnej liczby studentów — otrzymują także inne uczelnie. UMCS pozostanie jedynym gospodarzem w dzielnicy unwersyteckiej. AR przeniesie się do Felina. Nie ma sensu budować części Uniwersytetu w innej dzielnicy miasta, AR też nie może być rozpołowiona — część w Lublinie, część w Felinie. Stąd UMCS popiera działania i starania inwestycyjne AR, bo to wspólny nasz interes. My mamy już dokładną inwentaryzację obiektów AR w dzielnicy, nawet podział ich dla naszych potrzeb. Do czasu uzyskania budynku prawa i ekonomii, który da nam duży oddech — ale dopiero za jakieś trzy lata — budujemy prowizoryczne pawilony, które potem zostaną rozebrane, przy Humanistyce i ul. Zana. Mogę jeszcze dodać, że trwają już prace przygotowawcze dla perspektywicznych inwestycji poza szosą kraśnicką.

— *Prawie każdy absolwent w życiu spotyka się szybko z trudnymi problemami ekonomii, organizacji, zarządzania, informatyki. Tymczasem programy studiów są na ten temat wciąż bardzo wstrzemięźliwe. Nie wydaje się to właściwe.*

— Nowoczesne życie, nowoczesna administracja, w ogóle nowoczesna działalność wymaga dobrej, sprężystej organizacji, sprawnego zarządzania. Bez tego dobre kierowanie zespołami ludzi czy rzeczy jest niemożliwe. Stąd też nasza WSI nie przypadkiem ma już Instytut Organizacji i Zarządzania. To, co my myślimy zrobić, wcale nie jest konkurencyjne, bo chodzi o kadry dla innych dziedzin życia. Luka w programach rzeczywiście jest i zdajemy sobie z tego sprawę. Wystąpiliśmy więc do naszego Ministerstwa o uruchomienie informatyki już w roku bieżącym. Przed rokiem pisał pan redaktor o zakładzie organizacji i zarządzania doc. dra Szelocha, słusznie dopominając się o rozszerzenie działania zakładu. Docent złożył mi memoriał, odbyłem z nim rozmowę stwierdzając: szkoda jednej minuty na przekonywanie mnie, że taki kierunek jest potrzebny, natomiast upoważniam, proszę i zobowiązuję pana docenta, aby natychmiast podjął pan starania o pozyskanie kadr naukowo-dydaktycznych. Obecny zespół jest zbyt mały, aby mógł sam zorganizować pełną specjalizację.

— *Moim zdaniem chodzi nie tylko o specjalizację w organizacji i zarządzaniu, ale także o wprowadzenie pewnych elementów z tej dziedziny do wszystkich kierunków studiów.*

— Słusznie, będzie wskazane i dobre stworzyć placówkę międzywydziałową, chociaż początkowo musiałaby ona grawitować pomiędzy prawem a ekonomią. Stworzenie placówki międzywydziałowej, obejmującej tysiące studentów, wymaga bardzo a bardzo szerokiego wzmocnienia kadrowego dzisiejszego zakładu. Powiedziałem jeszcze docentowi niech się pan nie martwi o etaty, to moja sprawa, pan niech mi przynosi podania doktorów i docentów, którzy tu zechcą pracować. Im wcześniej to zrobimy, tym lepiej. Przygotowujemy właśnie ramowy plan działalności uczelni na dwadzieścia lat, będziemy go uchwalali 23 października na uroczystym posiedzeniu Senatu. Ponieważ obecna kadencja władz uczelni kończy się za rok, równocześnie przygotowujemy program działania na następną kadencję. W bieżącej kadencji zgodnie z programem stworzyliśmy germanistykę, romanistykę i psychologię, już w ciągu dwóch lat, poszerzyliśmy program o archeologię. W nowym programie chcemy dodać informatykę i uruchomić pełny program filozofii, a także znaleźć miejsce dla organizacji i zarządzania jako specjalizacji oraz studiów uzupełniających na innych kierunkach. To przecież jest niezbędne przyszłemu dyrektorowi szkoły, działaczowi kultury, pracownikowi ekonomicznemu, prawnikowi itd.

Rozmawiał: **Jerzy Dostatni**

Andrzej W. Pawluczuk

JEDEN DZIEŃ TYLKO

dla żony

spóźnionym latem
oczekując posłańca
z wieścią o ofiarach naszego przymierza
— każdy ich gest
oznacza pozorne zwycięstwo

dlatego nadbiegają
o pierwszej godzinie kwitnienia oliwek
by złożyć o zmierzchu
oznaki zwycięstwa i klęski

tymczasem nieoczekiwanie i jakby odchodząc
zostałaś samotną dziedziczką
niewielu drobiazgów: miłości i pragnienia
gdzie między dwoma kwiatami jaśminu
powstaje codziennie
kamienny poranek

a kiedy budzą mnie
udaję że umarłem i śmieję się cicho
z radości że ich bóg
przyjął pozorną ofiarę
i tak jest codziennie o tej wczesnej porze
kiedy słońce opada na nasz dom i czerwieni okna
i czerwieni nasz pokój
jak czerwoną róża

Zmartwychwstanie archeologii

Ireneusz J. Kamiński

Rys. E. Inglot

ARCHEOLOGIA polega m. in. na kopaniu dołków w ziemi. Potrzebni są do tego robotnicy, pracujący pod kierunkiem specjalistów, którzy potrafią odróżnić skorupy „Argedu" od skorup neolitu. Robotnikom trzeba płacić, więc jak nie ma pieniędzy, nie ma kopania, czyli nie ma badań archeologicznych. Wynikają z tego smutne historie.

W powiecie hrubieszowskim znajduje się miejscowość Gródek. Na jej terenie widnieje rozległe wzgórze o długości ok. 600 metrów i szerokości 120 metrów, które mieści niesłychane skarby archeologiczne, znane czy przeczuwane od dawna. Kilkanaście lat temu dobrał się do pagórka Konrad Jażdżewski, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, a kontynuował prace doc. Jan Kowalczyk, reprezentujący początkowo UMCS, następnie zaś — Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie.

Obaj wyjechali ukontentowani. Kopano w sumie ok. 5 lat, po dwa miesiące rocznie, dochodząc ostatecznie do wniosku, że 3000 lat przed naszą erą miejscowa ludność wznosiła kilkukondygnacyjne budynki, zaopatrzone w piece o eleganckich, profilowanych gzymsach. Upewniono się także, że do uprawy roli używano wówczas zaprzęgów zwierzęcych. Działo to się w okresie tzw. kultury pucharów lejkowatych, uważanym przez niektórych archeologów za „wiek złoty" szerszej epoki. Ponadto w Gródku znaleziono ślady tygielków glinianych do wytopu miedzi, co świadczyło za lokalnym pochodzeniem wyrobów z tego metalu. Do tego momentu w nauce przychylano się do poglądu, jakoby wspomniane wyroby pochodziły z zewnątrz, drogą importu z obszarów bardziej zaawansowanych cywilizacyjnie. Posługując się niewinną demagogią można zatem powiedzieć, że współcześni obywatele Gródka mają prawo do niejakiej satysfakcji: ich przodkowie sami opanowali skomplikowaną technologię, kto wie, czy nie zarzucili sąsiednich okolic eksportem.

Tymczasem archeolodzy opuścili zasobne wzgórze, tylko okazjonalnie odwiedzając ziemię obiecaną. Zadecydowały o tym względy materialno-organizacyjne, m. in. fakt, że w 1964 roku zaniechano rekrutacji chętnych do studiowania archeologii na UMCS. Podobno absolwenci tego kierunku jakoś nie mogli znaleźć pracy w zawodzie, szwendali się po różnych biurach, utrzymując kontakt z archeologią tylko poprzez kolekcjonowanie widokówek z Egiptu czy Sudanu, gdzie właśnie święciły triumfy ekipy profesora Kazimierza Michałowskiego. Motywacja owego „zaniechania" miała więc przysłowiowe nogi, wiemy coś na ten temat, ale nie miała rąk. Oto bowiem zabrakło kopaczy. Jak wokół wiadomo, najlepiej kopią studenci archeologii: czynią to w miarę solidnie i prawie bezpłatnie, a poza tym nie mogą wywinąć się od tego obowiązku, przewidzianego w programie nauczania.

W tej sytuacji do kopania przystąpili rolnicy z Gródka, kierując się jednak względami praktycznymi, a nie ideałami nauki. Wiadome wzgórze ma dość strome zbocze, co utrudniało właścicielom uprawianej ziemi dojazd i zabiegi agrotechniczne. Zatem obniżyli zachodnią stromiznę, przeciętnie o pół do jednego metra, odkrywając przy okazji ciekawe ponoć zabytki, które nie zwróciły, niestety, ich żywszej uwagi. Więc poniszczyli. Gdyby dali znać archeologom, wszyscy byliby zadowoleni, jako że nikt z naukowców nie ośmieliłby się wstrzymać prac rolniczych, zabezpieczając jedynie znaleziska. Było to ok. trzech lat temu.

Wiosną bieżącego roku w Gródku do akcji weszła koparka. Umówiony prywatnie operator ostro zabrał się do dzieła — były to przecież jego osobiste nadgodziny — i wybrał sporo ziemi z fosy z czasów Bolesława Chrobrego. A teraz toczy się dochodzenie milicyjne, które poza efektem prewencyjnym nic nie da.

Smutna sprawa, albowiem mieszkańcy Gródka wiedzą dobrze, że niszczyli miejsca zabytkowe. Mało tego: najbardziej uwikłany w pierwszą historyjkę sam kiedyś, jako mały chłopiec, brał udział w wykopaliskach. Wstydu pan nie masz? Przecież bez społecznej informacji i odrobiny zrozumienia dla zagadnienia archeolodzy zrobią niewiele. Ich jest po prostu za mało, wojewódzki konserwator zabytków archeologicznych nie jest w stanie skontrolować wszystkich stanowisk w ciągu roku. A społeczna akcja meldunkowa rozwija się jakoś niemrawo.

Tymczasem latem tego roku w Gródku pojawiło się kilka osób ze szpadlami. Kopali dość zręcznie, instruowani przez dwóch panów w średnim wieku. 26 sierpnia o godzinie piątej po południu jeden z młodych podniósł z wykopu szydło miedziane w kościanej oprawce: kolejny dowód wysokiego rozwoju techniczno-gospodarczego owych terenów — 3000 lat przed naszą erą.

— Obecnie w Polsce znamy trzy miejscowości z tej epoki, w których stwierdzono lokalną metalurgię miedzianą: Brześć Kujawski, Złotą w powiecie sandomierskim, no i Gródek — komentuje doc. dr Jan Gurba z UMCS.

Nas tu jednak, przynajmniej w równym stopniu, interesuje sprawa grupki kopaczy. W większości składała się ona z pierwszych po dziesięcioletniej przerwie studentów archeologii UMCS. Znów bowiem otwarto ten kierunek na uniwersytecie, przyjmując na I rok dziesięć osób. Kandydatów było zaledwie 23, ponieważ ministerialna decyzja o wznowieniu rekrutacji zapadła dopiero kilka tygodni przed terminem egzaminów wstępnych. Archeologię na innych uniwersytetach szturmowały, jak zwykle, tabuny maturzystów: 5—8 osób przypadało na jedno miejsce. Mity śródziemnomorskie funkcjonują, jak widać, w najlepsze. Dodajmy przecież, że zdaniem doc. dr. J. Gurby wszyscy absolwenci uczelni lubelskiej na pewno znajdą pracę zgodną z wyuczoną specjalnością, istnieje bowiem realne zapotrzebowanie na archeologów.

Studenci tzw. roku zerowego pracowali w Gródku w ramach praktyki robotniczej, po podpisaniu umowy z Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego przez uczelnię. Trzeba przyznać, że szczególnie dobrze znalazły się w tej sytuacji władze powiatu hrubieszowskiego, bezpłatnie zapewniając studentom noclegi w internacie szkoły zawodowej i dowóz na stanowisko. Kilka ciepłych słów wypadałoby też skierować pod adresem Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego, któremu prezesuje niezastąpiony Wincenty Piątek.

Kopano także we Włostowicach, gdzie jeszcze w ub. roku poza 27 grobami popielnicowymi — 9 z nich plus skarb krzemienny odkrył krytyk literacki St. J. Królik — natrafiono na szczątki tarczy wojownika z przełomu II/III w.n.e. Rdzawa narośl w jej umbie (szczycie) została zidentyfikowana przez docenta Kazimierza Godłowskiego z UJ, jednego z najwybitniejszych znawców okresu, jako pozostałości kolczugi żelaznej. Z punktu widzenia muzealnictwa jest to prawdziwa rewelacja. W tym roku studenci byli udziałowcami odkrycia wczesnej — wczesnośredniowiecznej osady z VI-VII w. n. e. Wykopaliskami kierował mgr Andrzej Kutyłowski.

Studenci pracowali również na grodzisku w Lublinie, przy ul. Kalinowszczyzna, na podstawie zlecenia dr Jana Góraka, dyrektora Muzeum Wsi Lubelskiej.

Należy przypuszczać, że tegoroczny sezon archeologiczny na Lubelszczyźnie nie miałby takiego rozmachu i efektów, gdyby zabrakło wiadomej „mocy przerobowej". Ten jeden fakt przemawia za celowością reaktywacji na UMCS studiów archeologicznych. Ziemia Lubelska jest wyjątkowo głębokim źródłem informacji o odległych epokach. Potwierdza to liczba kilku tysięcy stanowisk archeologicznych, a także zainteresowanie, jakim nauka krajowa darzy województwo. Ważne przy tym, że ośrodek lubelski dba również o popularyzację rezultatów swojej działalności, czego przykładem ubiegłoroczne wystawy polowe w Bochotnicy, Puławach i Kazimierzu, oraz duża ekspozycja w bibliotece UMCS, prezentująca komplet znalezisk i zaopatrzona w drukowany inwentarz-zaproszenie, który „ściągnął" do Lublina kilku wybitnych archeologów. W takich właśnie okolicznościach doszło do identyfikacji owej słynnej już kolczugi.

Ponieważ mieszkańcy Gródka nie zetknęli się zapewne z wystawą, wypada ich poinformować, że miedziane szydło w oprawce z kości ptaka, wykopane w ich miejscowości, także posiada znaczną wartość.

ŚLADAMI DOSTOJEWSKIEGO

Monika Warneńska

NAJPIERW jest Moskwa. Ale nie ta nowoczesna Moskwa wieżowców i szerokich arterii komunikacyjnych, lecz Moskwa, w której zakątkach do dziś drzemią echa przeszłości. Dziewiętnastowieczne kamieniczki szare, odrapane, ubogie. Przyćmiona pyłem zieleń starych drzew. Szpital.

W roku 1806 architekt Gigliardi na miejscu, gdzie znajdował się przedtem przytułek dla podrzutków i cmentarz, zbudował okazały gmach w stylu empire z frontonem i dorycką kolumnadą. *Jedna z instytucji dobroczynnych przeznaczyła ów budynek na szpital dla ubogich. Ulicę, biegnącą wzdłuż ogrodzeń szpitalnych posesji, nazywano bożedomką.* Tak pisał po latach znany autor powieści i studiów biograficznych, dotyczących wybitnych twórców literatury, Leonid Grossman. W tym szpitalu rozpoczął pracę na przedwiośniu roku 1821 i tu mieszkał niedawno zdemobilizowany lekarz wojskowy, Michał Andrejewicz Dostojewski. 30 października 1820 r. w tym domu przyszedł na świat drugi jego syn, Fiodor. *Okolice, w których się urodził, należały do najsmutniejszych w Moskwie* — napisze później Grossman.

Dom dzieciństwa pisarza od dawna zamieniony został na muzeum, które ściąga wielu ciekawych. W tym domu pisarz przeżył kilkanaście pierwszych lat życia. W jego okolicach dokonała się pierwsza inicjacja wrażliwego dziecka w życie „skrzywdzonych i poniżonych": ludzi z nizin społecznych i nędzarzy ze społecznego marginesu.

Z fotografii patrzą na przybysza rodzice pisarza: ojciec pochmurny, o spojrzeniu przenikliwym i gniewnym. Syn popa, uciekł z domu, aby móc się uczyć i o własnych siłach studiował medycynę. Swiadczy to dodatnio o jego sile charakteru. Ale w dojrzałym wieku ów zdolny lekarz nie potrafił pracować nad sobą — i panować nad sobą. Wybuchowy, arogancki, łatwo popadał w rozdrażnienie i w straszliwe wybuchy gniewu, które przyprawiały najbliższych o drżenie. Był ponadto skąpy, a w stosunku do rodziny oschły i bezwzględny. Częste zaglądanie do kieliszka zamieniło się z czasem w trwały alkoholizm. Charakter ojca i atmosfera domowa, jaką wytwarzał swoim despotyzmem, rzuciły głęboki cień na chłopięce lata przyszłego pisarza.

Matka, Maria Fiodorowna, z domu Nieczajewa, była przeciwieństwem męża. Łagodna i serdeczna dla dzieci, muzykalna i rozmiłowana, uwielbiała Puszkina, rozczytywała się w powieściach, chętnie śpiewała pieśni i romanse, akompaniując sobie na gitarze. Kochająca żona i matka, pisywała piękne, pełne sentymentu listy do dzieci. Była pierwszą nauczycielką synów, otwierała im oczy na urok świata i sztuki. Czułość i zaduma widnieją w jej rysach, które przekazały zachowane podobizny.

Szafa z książkami: mały Fiodor od dzieciństwa był ich namiętnym czytelnikiem. Matka uczyła go sztuki sylabizowania na księgach Starego i Nowego Testamentu. Potem stopniowo przychodziło odkrywanie Puszkina i powieści Anny Radcliffe, z zawartym w nich napięciem i mroczną grozą. Za pośrednictwem piastunek mały Fiodor zapamięta urok bezimiennych baśni i opowieści ludowych. Dziesięciolatek poznaje rosyjską wieś z jej podaniami, obrzędami, obyczajami.

W roku 1823 rodzina lekarska przeniosła się do innego skrzydła szpitalnego budynku — i to właśnie jest mieszkanie, po latach zamienione na muzeum. Starszym chłopcom dano pokoik osobny, wydzielony z ogrodzonej części przedpokoju. Swiatło z trudem przenikało do ciasnej, mrocznej stancyjki, pomalowanej na kolor, który miał być podobno „ciemnoperłowy", w rzeczywistości zaś był nijaki i ponury.

Charakter ojca z biegiem lat nie zmieniał się na lepsze. Przyszedł dzień, w którym młodym Dostojewskim zabrakło matki. Ojciec, grzęznący w alkoholizmie, zakończy życie, zabity przez chłopów z wioski, która do niego należała — w odwet za rządy twardej ręki wobec „przypisanych do ziemi" wieśniaków, za okrucieństwo, jakie wobec nich przejawiał, za gwałcenie dziewcząt wiejskich. Przez całe życie pisarz będzie rozważał i przetrawiał w sobie przyczyny śmierci ojca, który stał się pierwowzorem powieściowej postaci Fiodora Karamazowa.

Urządzenie czterech dawnych pokoi mieszkalnych jest nad wyraz skromne. Nastrój, jaki w nich panuje — posępny i bardzo „dostojewski". W tych mrocznych pokojach, wśród szablonowych nieciekawych mebli przetrwała atmosfera pracy. Wytężonej, zajadłej pracy pisarskiej. Oto jej główne i najważniejsze świadectwo: rękopisy. Przed laty francuski badacz Dostojewskiego, Rene Fulop-Miller, zaznajamiając się z jego spuścizną, pisał:

„Oryginalne rękopisy Dostojewskiego, przypominające często autografy Balzaca, szkice do jego słynnych powieści, notatki marginesowe i lapidarne uwagi rzucają (...) pierwszorzędne światło na jego twórczość i często pozwalają nam jak najdokładniej śledzić całkowity rozwój powstającego dzieła. Znajdujemy w nich formalne dyspozycje, powzięte zamiary, ustalone z góry kategorie. Tu na przykład Dostojewski zaopatruje swoje autografy w następujące nader charakterystyczne uwagi: *Piszę teraz romans kronikarski, albo powieść a'la Turgieniew, powieść a'la Tołstoj.* Gdzie indziej natomiast: *Powieść anti-Tołstoj, anti-Turgieniew.* W innych zaś szkicach rękopiśmiennych znajdujemy takie oto dopiski nad zdaniami tekstu: *Program praktyczny, Pojedyńcze kompozycyjne akty i elementy, Myśli i podstawy, Uporządkowanie i budowa materiału, Rozdziały i ostateczne uwagi.*

Ponadto rękopisy Dostojewskiego roją się od oryginalnych grafologicznych znaków, kaligraficznie powtarzanych słów i rysunkowych motywów, na pozór luźnych i kapryśnych, lecz po bliższym zbadaniu pozostających w ścisłym związku z całokształtem narastającej powieści. Wszelako najciekawsza stroną autografów Dostojewskiego, szczególnie z końcowej epoki jego twórczości, są stale nawracające gotyckie motywy linearne. Tak w szkicach do „Biesów" i „Braci Karamazow" kłębią się ustawicznie te motywy, obejmują prawie całe stronice, zdają się panować niepodzielnie nad zanikającym nieomal tekstem..."

Istotnie, na marginesach rękopisów Dostojewskiego oraz w ich tekście często widać maszkarowate twarze ludzkie i motywy architektury gotyckiej. Epoka gotyku fascynowała Dostojewskiego od lat młodości. Pierwszym gotyckim miastem, jakie w życiu zobaczył, był Rewel, czyli Tallin, ze swoimi kościołami, z dwunastowieczną katedrą, z domami o strzelistych dachach, z gmachem ratusza i giełdy. Dojrzały pisarz namiętnie studiował historię europejskiego średniowiecza, interesował się inkwizycją, procesami czarownic, widowiskami w rodzaju osławionych „danse macabre".

Istnieje Moskwa Dostojewskiego — jego miasto rodzinne. Ale „jego" miastem jest przede wszystkim Petersburg, czyli Leningrad: miasto, w którym mieszkał, miasto, które było tłem wielu jego powieści, w którym powołał do życia wielu swoich bohaterów, każąc im istnieć i działać.

Jako przewodnik w tej wędrówce służy mi, oprócz innych źródeł, cenna książka Eugeniusza Saruchajana „Dostojewski w Petersburgu". Zdobyłam ją z trudnością. Zainteresowanie Dostojewskim jest bowiem tak wielkie, że cały znaczny nakład rozchwytany został w oka mgnieniu.

Dom u zbiegu dzisiejszej ulicy Przewalskiego i Graždanskoj — żółty, czteropiętrowy budynek, znowu narożny! Wąskie okna. Oszklony narożny balkon drugiego piętra. Dziś jeszcze w sieni można znaleźć schody, które prowadziły na piętro najwyższe — owych trzynaście stopni, wiodących do mieszkania Raskolnikowa, bohatera „Zbrodni i kary".

Ulica Gribojedowa 104, tuż nad kanałem o tej samej nazwie. Pięciopiętrowy, żółtawo-zielony budynek. Tu mieszkała lichwiarka, którą zamordował Raskolnikow. Planując zbrodnię, przemierzał chodnik, obliczając wedle kroków odległość, którą trzeba pokonać, aby ujść z niebezpiecznego miejsca. Tu nakręcono filmową wersję „Zbrodni i kary". Raskolnikow odwiedza traktiernię, nazywaną w powieści „Pałacem Kryształowym", spotyka się w niej ze Swidrygajłowem i w tymże lokalu przegląda gazety, szukając w nich wiadomości o zbrodni, jakiej dokonał...

Wielką rolę w „Zbrodni i karze" odgrywa Plac Sienny — ożywione targowisko, co dzień od wczesnego ranka do późnego wieczora pełne ruchu i gwaru. Opisany został w tejże powieści Zaułek Stolarny: szesnaście domów, po osiem z każdej strony ulicy, wszędzie wyszynki i knajpy. Przetrwały w dziele pisarza obrazy trzech ulic Mieszczańskich: Małej, Średniej i Wielkiej, oraz ulicy Sadowej, która do dziś zachowała swą nazwę. Na tej ruchliwej ulicy wmieszany w tłum przechodniów Raskolnikow knuł plany zbrodni, wiedząc, że nazajutrz o godzinie siódmej wieczór stara kobieta zostanie w domu sama.

Wiele kart „petersburskich" zawiera powieść „Idiota". Książę Myszkin, błądząc po mieście, zachodzi do Parku Letniego. Nastazja Filipowna mieszka blisko Teatru Wielkiego, w domu, gdzie zostaje zabita. Dom ten, do dziś istniejący, zidentyfikowany został jako budynek przy obecnej ulicy Dzierżyńskiego 33. Oglądam również dom, w którym pisał tę powieść, przy dzisiejszej ulicy Kaznaczewskiej. Czteropiętrowy budynek o tym samym żółtym, przykrym kolorze, który właściwy jest dla wielu kamieniczek w zeszłowiecznych dzielnicach miasta. Stary balkon, gruba krata z wygiętych w esy-floresy prętów żelaza. Drewniane stopnie. Tu pisarz miotał się i szarpał wśród niezaspokojonych pretensji wierzycieli, wśród własnych kłopotów finansowych, które narastały lawiną. I tu właśnie dyktował swoją powieść młodziutkiej, poważnej Ani Grigoriewnie Snitkin, której długo nie śmiał wyznać narastającej miłości, a która niebawem miała się stać jego żoną — i stworzyć mu dom.

Powróciwszy z młodą żoną z zagranicy, Dostojewski osiedlił się na stałe w Petersburgu, ale często zmieniał mieszkania. Finanse pisarza, stale miotającego się wśród kłopotów pieniężnych, powodowanych lekkomyślnym trybem życia, zobowiązaniami rodzinnymi oraz zgubną namiętnością do gier hazardowych — mimo energii i wysiłków Anny długo były w stanie opłakanym. O mieszkaniu obszernym, bardziej komfortowym nie było mowy. Do ważniejszych adresów petersburskich pisarza w tym nowym okresie jego życia należał dom przy dzisiejszym Prospekcie Rimskiego-Korsakowa, stąd blisko było do parku — miejsca zabaw małej córeczki Luby. W domu przy obecnej ulicy Armii Czerwonej 11 pisarz mieszkał krótko, rok zaledwie, ale w tutejszym mieszkaniu zakończył pracę nad jednym ze swoich najważniejszych dzieł — powieścią „Biesy". Przez kilka lat mieszkał w narożniku Prospektu Greckiego, gdzie pracował nad powieścią „Wyrostek". Ale Dostojewscy nie chcieli pozostawać w tym mieszkaniu, gdzie dotknął ich bolesny cios: śmierć najmłodszego synka, Aloszy, zmarłego w roku 1878. Ostatni adres petersburski pisarza brzmi: Zaułek Kuźniecki 5. Tablica pamiątkowa z płaskorzeźbą przedstawiającą głowę pisarza widnieje w pobliżu wejścia do mieszkania, od jesieni roku 1971 przekształconego na muzeum. Znalazło się w nim wiele pamiątek, starannie przechowanych przez Annę Dostojewską.

Sześć pokoi, kuchnia, przedpokój. Siedem okien wychodzących na Zaułek Kuźniecki. Gabinet pisarza: dębowa otomana i podobne do niej biurko. Stół na którym za życia właściciela piętrzyły się książki i gazety. Na biurku dwa lichtarze, popielniczka z brązu, srebrny dzwoneczek. Podobizna żony, fotografie dzieci. Nad kanapą duża reprodukcja Rafaelowskiej Madonny. W pokoju żony na biurku z galeryjka fotografia opatrzona dedykacją: „Mojej dobrej Ani — Fiodor". Trudno o słowa bardziej prawdziwe i bardziej wymowne.

Na biurku owalne pudełeczko tekturowe, w którym pisarz przechowywał tytoń. Na odwrocie kilka słów nakreślonych niewprawną dziecięcą ręką. Córeczka, jedenastoletnia wówczas Lubow, zapisała datę śmierci ojca: 28 stycznia 1881 roku. Zatrzymany na zawsze zegar w pokoju pisarza wskazuje godzinę jego zgonu: 8.38 wieczór.

Na biurku — obok notatnika pokaźnej objętości, obok papieru listowego o małym formacie, obok przyborów do pisania, autor „Zbrodni i kary" zwykł był kłaść drewnianą obsadkę. Ten drobny przedmiot stał się przyczyną komplikacji zdrowotnych które przyspieszyły zgon pisarza. Kiedy pracował pewnego styczniowego wieczora, obsadka spadła z biurka, potoczyła się pod inne sprzęty. Pisarz schylił się, chcąc wyciągnąć ją spod etażerki obciążonej książkami — i wysiłek, z jakim ten sprzęt dźwignął, stał się powodem krwotoku, który miał niebawem ostatecznie podciąć jego siły. 28 stycznia o godzinie 7 wieczór Dostojewski ostatecznie stracił przytomność. Niebawem na ciemnym tle kanapy, pod reprodukcją Madonny zastygła *udręczona myślą, jakby cała przepalona od wewnątrz namiętnym płomieniem twarz* (Grossman).

Podczas pogrzebu, który zgromadził tysiące ludzi, studenci petersburscy nieśli wieńce z szarfami, na których widniały tytuły powieści Dostojewskiego — i kajdany, przypominające lata, które przeżył na zesłaniu.

Rozglądam się raz jeszcze wśród zakątków domu, gdzie Dostojewski dotarł do kresu wędrówki ziemskiej. Ostatnie lata życia, jakie w tym domu przeżył, były dlań dobre i przychylne. Po raz pierwszy w życiu wyzwolił się z długów i zobowiązań finansowych. Zdrowie jego uległo znacznej poprawie. Ataki epilepsji, które dręczyły go od młodości, stały się znacznie rzadsze. Zyskał sobie ogromne uznanie czytelników. Kochał swoje dzieci. Był dobrym mężem, czułym ojcem. Starał się stworzyć dzieciom jak najbardziej pogodne dzieciństwo. Dbał o zaszczepianie w nich upodobań do poezji i muzyki. Na krótko przed śmiercią zaczął prowadzić je do opery. Był szczodry dla ludzi. Zawsze łatwo go było wzruszyć opowiadaniem o czyjaś prawdziwej lub urojonej niedoli. W tym mieszkaniu pisał „Braci Karamazow" — powieść, o której w jednej ze swoich notatek twierdził, że *żadnego ze swoich dzieł dotychczasowych nie traktował tak poważnie, jak tego właśnie.*

Niespokojne było jego życie, pełne cierpień i udręki. A jednak pełnia prawdy tchną słowa, jakie wyszły spod jego pióra w roku 1871: *Mimo wszelkich strat, jakie przeżyłem gorąco kocham życie. Kocham życie dla samego życia i na serio, wciąż jeszcze zamierzam rozpocząć życie. Niedługo skończę pięćdziesiątkę, a ciągle jeszcze nie mogę zrozumieć, czy kończę życie, czy je dopiero zaczynam. Oto zasadnicza cecha mojego charakteru, a może mojej działalności.*

Szkic powyższy jest fragmentem książki „Wczasy literackie", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Radosne urzędowanie

Maria Beckczyc-Rudnicka

ABSORBUJĄCE zabiegi o pewną „wyprawę" zagraniczną nie pozwoliły mi uczestniczyć w okazałym numerze, który „Kamena" wydała ku czci trzydziestolecia reaktywowania Związku Literatów Polskich na Zjeździe 3 września roku 44. Atoli 7 października br. mija z kolei dokładnie 30 lat od dnia powstania w Lublinie Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, owo zaś wydarzenie z okresu PKWN stało się niejako punktem zwrotnym mego życia, czuję przeto kategoryczny nakaz wewnętrzny, by trochę powspominać, jak do tego doszło.

Wrześniowe bombardowanie Warszawy r. 1939 przeżywałam, wraz z mężem moim, dyrektorem Biblioteki Operowej, Edwardem Wrockim, w przestronnych magazynach pod placem Teatralnym i mogłoby się to skończyć naszą „śmiercią w starych dekoracjach", bo pociski padały gęsto, ale schron był solidny: wyszliśmy stamtąd tragicznej nocy pożaru Teatru Wielkiego przejęci grozą, lecz cali.

Ogień nie strawił gmachu doszczętnie. Odstąpił od lewego skrzydła, gdzie właśnie mieściła się biblioteka muzyczna. Tu, wśród foliałów nutowych, spędzałam przez całą okupację codziennie parę godzin. W mieszkaniu naszym przy Al. Jerozolimskich, było „głodno i chłodno" (nie mieliśmy talentu do handlu). W bibliotece spotykałam się ze znakomitymi śpiewakami operowymi, zarabiającymi podówczas na chleb występami w kawiarniach. Pisałam dla nich teksty do muzyki wokalnej. Taka galanteria „literacka" dostarczała trochę grosza na olej i kartofle, co w połączeniu z magistracką wasserzupką, przydzielaną mężowi, podtrzymywało marne życie.

1 sierpnia 1944 r., po godzinach urzędowych, udaliśmy się bezpośrednio z biblioteki muzycznej do ogródka działkowego pod parkiem Paderewskiego, ubrani „na roboczo". Najskromniejszy przyodziewek oraz teczki wypchane dokumentami i rękopisami, z którymi niedyśmy się nie rozstawali, stanowiły całe nasze mienie, kiedy 30 września owego roku, częściowo piechotą, częściowo samochodami wojskowymi, dotarliśmy do Lublina.

Opowiadałam wielokrotnie w słowie i piśmie przygody tamtej wędrówki, teraz powiem krótko: natrafiliśmy na moment, kiedy w Lublinie realizowano już z niesłychanym entuzjazmem rozliczne inicjatywy kulturalne, nie tylko „odgórne", ale i „oddolne". Wiadomo przecie — miasto roiło się wówczas od literatów, dziennikarzy, artystów wszelkiego autoramentu. Z ulic znikły ślady walki, cieszył widok polskich mundurów.

Nazajutrz po przybyciu, t.j. 1 października, stawiliśmy się w PKWN. Okazało się, że się „bardzo przydamy". Trzeba było niezwłocznie stworzyć wydział wojewódzki, który pomógłby działającemu już Resortowi Kultury i Sztuki w organizowaniu tudzież upowszechnianiu odradzającej się spontanicznie, powstającej wybuchowo Kultury.

A więc tak oto Edward Wrocki, muzykolog, zagorzały bibliofil, zbieracz muzykaliów, i niżej podpisana, wolnozawodowa literatka — stali się nagle urzędnikami w nieznanym im dotąd mieście.

Ktoś studiujący owe odległe „pierwsze dni tworzenia" na podstawie nielicznych ocalałych „kawałków" urzędowych — może spoglądać dziś na nasze urzędowanie z tzw. przymrużeniem oka. Oczywiście, była to administracja zgoła nietypowa, „ochotnicza". Lecz proszę mi wybaczyć, iż posłużę się gwoli jej częściowego usprawiedliwienia autocytatą. Pozwalam sobie przytoczyć sformułowanie swoje sprzed piętnastu laty w jubileuszowym wspomnieniu pt. „Spojrzenie z parteru" (v. redagowany przeze mnie zbiorowy tom wspomnień „W stołecznym Lublinie"). Pisałam mianowicie z niewygasłym sentymentem:

...żarty żartami, a trzeba powiedzieć, że w tym właśnie braku przedwojennej rutyny kancelaryjnej dadzą się chyba dostrzec pewne cechy dodatnie. Sprawy poważne traktowaliśmy ogromnie serio, braliśmy je bardzo do serca. Może nawet za bardzo — chcąc załatwić od ręki. W warunkach powojennego rozgardiaszu nie zawsze się to udawało... Jednakże czule wspominam teraz tę pozytywną nadgorliwość, która cechowała wszystkie ówczesne urzędy, od góry do dołu. Wykluczała ona przynajmniej bezduszność, dyskwalifikującą niekiedy bardziej uporządkowane procedury.

Nie cofam ani jednego z napisanych w tym passusie słów.

Mój młodszy kolega po piórze dziennikarskim, Ireneusz J. Kamiński, w swym interesującym artykule „Naczelnik i inni" („Kamena" nr 18 br.) mówi o trudnościach towarzyszących rzeczonym początkom funkcjonowania Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki: o braku odpowiedniego lokalu, o luźnych kontaktach nielicznych referentów powiatowych z Lublinem, o zatrudnianiu ich przez władze terenowe przy wykopkach ziemniaków czy w kampanii buraczanej (z tym zjawiskiem administracyjnym można było się spotkać bodaj jeszcze po dwóch latach). Istotnie pracowaliśmy na Spokojnej w ciasnym pokoiku bez okien, gdzie później urządzono jakiś składzik. Pierwszą naszą troską było skompletowanie kadr — oszczędne i z konieczności przypadkowe (cóż, „przypadkowi" byliśmy sami). Referat finansowy udało się nam powierzyć Janowi Widmańskiemu, plastykowi (!), który poprzednio pełnił funkcję buchaltera w innej instytucji. Referat muzyczny dostał się Edwardowi Wejmanowi, członkowi przedwojennej orkiestry Filharmonii Warszawskiej. Niewiele czasu mógł on poświęcać Wydziałowi, zajęty jednocześnie kierownictwem muzycznym Teatru I Armii WP. Najwłaściwszym zaś człowiekiem na właściwym miejscu okazał się inż. arch. Zygmunt Knothe, powołany na stanowisko wojewódzkiego konserwatora zabytków.

I. J. Kamiński zaczyna wymieniony artykuł od komicznego epizodu nieprzewidzianego, że tak powiem — „wsiąknięcia" naszego konserwatora w teren aż na miesiąc. Cytuje też fragment raportu kierownika Wydziału meldującego o wzmiankowanym fakcie wojewodzie K. Sidorowi. Byłoby mi niezmiernie przykro gdyby rzeczywista owa przygoda o posmaku anegdotycznym wyjęta z kontekstu ówczesnej rzeczywistości, rzuciła bodaj smugę cienia na opinię, którą cieszył się nasz konserwator, fachowiec z prawdziwego zdarzenia.

Niewątpliwie Z. Knothe nieczęsto zagrzewał jedno z czterech krzeseł, którymi rozporządzaliśmy w urzędzie, ale zasadniczo ani kierownik Wydziału, ani moja skromna osoba w charakterze z cy, nie mieliśmy za złe, że w czasach, kiedy na Lubelszczyźnie grasowały bandy nasz niezmordowany inżynierek tłukł się po „terenie" bez nagana, w podniszczonym cywilnym paletku, docierając do zapadłych kątów, by ocalić ten czy inny zabytek od uzbrojonych zbójów bądź szabrowników. Chyba było tak, jak pisze kol. Kamiński, że operatywny pan Zygmunt zawieruszył się nieco w Cieleśnicy, popijając winko parafialne. Kierownik musiał z urzędu złożyć w tym wypadku „odnośny" raport. Lecz w gruncie rzeczy, gdy teraz o tym myślę, sądzę, iż dobre winko przy tamtej koniunkturze nie zaszkodziło w pracy. Wszyscy i koledzy literaci, i dziennikarze dodawali sobie animuszu... bimbrem (p. wspomnienie Jana Huszczy „Dom przy ul. Radziwiłłowskiej"), a niejeden z nich był zatrudniony z pożytkiem w Resorcie, Radiu czy redakcji. Pamiętam sprawkę Wydziału bardziej kwalifikującą się do oddania pod dochodzenie dyscyplinarne: pewnego dnia u k r a d l i ś m y z korytarza monumentalne biurko na wysoki połysk, z profuzją szuflad — było nam potrzebne dla sprawniejszego urzędowania.

Na czym ono, owo urzędowanie polegało? Przede wszystkim na rozpaczliwych próbach zadzierzgnięcia więzów z terenem. Tu właśnie Knothe był niezastąpiony. Poza tym pękła bania... z okólnikami. Niewiele odnosiły skutku. A cośmy zdziałali w „stołecznym" Lublinie? No, chyba jednak coś niecoś. Wprawdzie literaci i plastycy zorganizowali się już przed 7 października sami — w redakcjach, w Rozgłośni PR, na zjazdach, wystawach, spotkaniach poetyckich. Zaglądali też na wyższe piętra gmachu przy ul. Spokojnej, bezpośrednio do Resortu Kultury i Sztuki. Lecz muzycy garnęli się przeważnie do naszego Wydziału, a przewinęło się ich wtedy przez Lublin sporo, znakomitych. Zaczęliśmy eo ipso organizować koncerty, cały cykl koncertów tzw. wojewódzkich, w Towarzystwie Muzycznym cykl, który zasłużył się nieźle lubelskiej kulturze muzycznej. Nadto Wydział Wojewódzki, wespół z dyrygentem warszawskim Zygmuntem Szczepańskim, zabiegał w Domu Żołnierza i gdzie się dało o instrumentalistów celem utworzenia Lubelskiej Orkiestry Kameralnej, co też i doszło niebawem do skutku...

W końcu stycznia Edward Wrocki wrócił do wolnej Warszawy, gdzie oczekiwała go hiobowa wieść: jego cenne zbiory muzyczne, przechowywane tymczasowo w Bibliotece Operowej, spłonęły razem z nią podczas Powstania.

Gdy stanowisko kierownika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie objął lubelski literat, kol. Józef Nikodem Kłosowski, otrzymaliśmy już lokal kilkupokojowy. Praca administracyjna stopniowo się normowała.

Osobiście, w ciągu sześciu miesięcy „stołecznego" Lublina, przejęta urzędowaniem, nie miałam dość czasu na spotkania koleżeńskie z literatami. Nosicielka legitymacji członkowskiej ZLP (ściślej — początkowo ZZLP) o numerze 12, byłam w kontakcie tylko z nieodżałowanym Julianem Przybosiem, z Janem Sztaudyngerem, Jerzym Pleśniarowiczem, pobieżnie — z Adamem Ważykiem, Ryszardem Matuszewskim, Stanisławem Nadzinem... Oprócz Feliksa Araszkiewicza, nie znałam nikogo z literatów lubelskich. Nawet Annę Kamieńską i Julię Hartwig poznałam później — w redakcji „Zdroju". Dopiero po wyjeździe pierwszego zarządu ZLP z Lublina nastąpiło zaszczytne dla mnie spotkanie z Janem Parandowskim i Juliuszem Kleinerem, z którymi miałam szczęście współpracować potem przez kilka lat przy organizacji lubelskich placówek literackich.

Kiedy wspominam teraz moje „radosne, ochotnicze urzędowanie w kulturze", napełnia mnie głęboki podziw dla dzisiejszych, kompetentnych pracowników Wydziału Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, którym wypada niejednokrotnie podejmować jakże odpowiedzialne decyzje wobec skomplikowanych problemów licznych powierzonych ich pieczy placówek kulturalnych. Życzmy trzydziestoletniemu Wydziałowi jak najwięcej sukcesu w Jego poczynaniach!

Teatr im. J. Osterwy gra z powodzeniem „Barbarę Radziwiłłównę" Alojzego Felińskiego (p. recenzję Marii Bechczyc-Rudnickiej w n-rze 17 „Kameny"). Na zdjęciu Andrzej Wiśniewski w roli Zygmunta Augusta.

Fot. CAF

Operetka Lubelska: „Boso, ale w ostrogach". Na zdjęciu Wanda Mikulska i Piotr Suchora.

Fot. CAF

Tadeusz Chmielewski

JESIENNE POGWARKI

Wczoraj dojrzało słońce
za płotem
bez jednej sztachety.
Z melancholijnie zamgloną skórką
czeka
na nasze weki.

Lecz cukier jest jeszcze w burakach,
a chmury zwlekają z deszczem...
rozsnuwam
szare komórki — wieje
na wietrze.

Z robotą trzeba by ruszyć,
dymne ogniska zapalić,
siać słowo,
choć jeszcze
trzeźwo myślący nie posiali.

A dom stary w węglach skrzypi,
że nieogacony
i o mrozach gadają za piecem
harasymowiczowskie ikony.

Kapitan Maczulski

NIE ujmując innym pracownikom, takich Maczulskich żebym miał trzech w wydziale, to by dopiero była radość służbowa — mówi o swoim podwładnym płk Henryk Ryszkowski, naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KW MO w Lublinie, i ciągnie dalej: — Maczulski to długoletni zasłużony pracownik, ale człowiek nadzwyczaj skromny. Awansowano go na zastępcę naczelnika innego wydziału, zrezygnował po pewnym czasie, bo nie lubi roboty papierkowej, za biurkiem, lubi robotę w terenie i z ludźmi. Chciałem go zrobić u siebie kierownikiem sekcji, zrezygnował z tych samych powodów. Ma bardzo dobre rezultaty w pracy dochodzeniowo-śledczej, a zwłaszcza w prowadzeniu spraw kryminalnych o dużym ciężarze gatunkowym, czyli zabójstw i poważniejszych napadów, to jego specjalność. Za wzorową pracę odznaczony Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz odznaką „Za zasługi w ochronie porządku publicznego". Zawsze osiągalny. Gdzie go wyślę, wszystko mi zrobi, dokładnie udokumentuje. Wydział jest duży, rotacja także, bo ludzie awansują, a przecież ktoś tę najtrudniejszą robotę musi wykonać i jeszcze młodymi się opiekować. Od tego jest Maczulski. Że wychodzi ta sylwetka zbyt jednostronna i pan się obawia, iż takich ludzi w ogóle nie ma na świecie? Więc dodam jeszcze, że ja lubię być u pracownika w domu i Maczulski się okazuje człowiek bardzo rodzinny, dbały i zaradny, dwu synów wychowuje na ludzi. Ale to znowu same pozytywy...

W pokoju służbowym kpt. Janusza Maczulskiego zastaję kilka transporterów wódki: „Ratafii" i „Klubowej". Butelki zabrudzone ziemią i gliną. Kapitan prowadzi aktualnie sprawę włamania do sklepu GS w Zagłobie, skąd właśnie ta wódka została zrabowana i po części skonsumowana na weselu, po części zaś zakopana w ziemi. Sprawców ujęto, nie wypity „towar" — jak widać — odzyskano.

— Co to znaczy „sprawy kryminalne o dużym ciężarze gatunkowym", w których się pan specjalizuje? — pytam kpt. Maczulskiego.

— Przede wszystkim zabójstwa — odpowiada ten spokojny, jakby jowialny mężczyzna w średnim wieku. — Ludzie donoszą na przykład o odnalezieniu zwłok 68-letniej kobiety leżących w stodole. Biorę grupę funkcjonariuszy, maszynę do pisania, broń i kajdanki, jadę w teren. Okazuje się, że niewiasta została zamordowana i zgwałcona...

— Przyzwyczaił się pan do tych okropności?

— Do zwłok ludzkich musiałem się przyzwyczaić jak lekarz. Ale jakoś nie mogę się „przyzwyczaić" do sprawców. Nie ma nic bardziej poniżającego: idzie taki, zabija, rabuje albo gwałci. Są zresztą także i sprawy tragikomiczne, jak z tym jegomościem, który się w chełmskiej knajpie zadławił na śmierć kawałkiem boczku!

— Mówi się dziś o wielkiej roli techniki w pracy milicji, jaka jest zatem rola pojedynczego oficera dochodzeniowo-śledczego?

— Nie można sobie wyobrazić pracy bez techniki: badania mikroślądów, daktyloskopii, fotografii, filmowania, nagrań magnetofonowych. Źle zabezpieczone ślady przestępstwa zostają z reguły odrzucone przez sąd jako materiał dowodowy. Ale w końcu człowiek zostaje sam na sam z podejrzanym i sam musi tę łamigłówkę ułożyć, skłonić przestępcę do przyznania się. Jest to rodzaj pojedynku, kto nad kim. Jeden mi się łaskawie przyznał do sześciu włamań, ale byłem przekonany, że ma ich na koncie znacznie więcej i trzeba było z niego tę prawdę wydobyć.

— Jakimi sposobami?

— Nigdy nic basem, nic na hurra, cierpliwość i perswazja, umiejętność dostosowania się do poziomu człowieka zza drugiej strony biurka. Najważniejsze jest wydobycie prawdy obiektywnej, to dopiero przynosi satysfakcję.

— Czy są jakieś cechy specjalne, które byłyby potrzebne człowiekowi sprawującemu pańską funkcję zawodową?

— Mnie na przykład bardzo się przydaje umiejętność pisania na maszynie, ale, mówiąc poważnie, myślę, że jedną z takich cech jest po prostu gotowość. Tu nie ma mowy o pracy ośmiogodzinnej i żona musi to wytrzymać, przyzwyczaiła się. Do tej zgwałconej i zamordowanej staruszki wyrwano mnie pierwszego stycznia zza stołu, na którym stało śniadanko noworoczne, jeszcze nie zaczęte...

— Jakie motywy kierowały panem, kiedy podejmował pan decyzję wstąpienia do milicji? Chęć czynienia sprawiedliwości, rekompensaty własnych słabostek, uzyskania określonego statusu społecznego? — pytam nieco prowokacyjnie.

— To wszystko odbyło się znacznie prościej. Mając 22 lata pracowałem w ówczesnej WRN, działałem w ZMP. O możliwościach pracy w milicji poinformowała mnie właśnie organizacja, potraktowałem to zresztą również jako możliwość uzupełnienia wykształcenia średniego i w 1951 roku wstąpiłem do szkoły oficerskiej w Legionowie, którą ukończyłem w roku 1953. Jak pan widzi, całkiem prozaiczna historia. Od początku pracuję w tym wydziale, zaczynałem od najdrobniejszych włamań „na pasówkę"...

— ?

— To znaczy rozpracowywałem włamania dokonywane przy pomocy dopasowanych kluczy. Nie zdążyłem być ani w partyzantce, ani w rewolucji, po prostu zwyczajne życie i zwyczajna kariera funkcjonariusza milicji.

— Wiem, że pan skończył zaocznie studia prawnicze.

— Tak, studia się skończyło, wiele mi w tym pomogli moi przełożeni, no i żona. Teoretycznie i praktycznie stanął człowiek na nogach.

— A życie osobiste?

— Ożeniłem się zaraz po szkole oficerskiej. Jeden mój syn ma teraz 19 lat, kończy liceum ekonomiczne i wybiera się do milicji, ja nie zabraniam, ale on powinien myśleć przede wszystkim o studiach. Drugi syn, 17-letni, uczy się w liceum ogólnokształcącym i wybiera się na medycynę. Uczą się i chcą się uczyć, kłopotów wychowawczych nie mam z nimi żadnych.

— Ale ja pytałem raczej o pańskie zainteresowania pozasłużbowe.

— A pan uważa, że taka praca i rodzina nie wystarczą na jednego człowieka! Zresztą na takie pytania odpowiadam zawsze: praca moja jest tak absorbująca i tak interesująca, że wyczerpuje wszystkie moje zainteresowania. Oczywiście, poza życiem rodzinnym, które jest dla człowieka rzeczą bardzo ważną, o ile tylko nie jest tak, iż człowieka dzień wygna, a noc przygna. Czasami myśli się tylko o tym, żeby przyjść spokojnie do domu i w nocy nie usłyszeć telefonu...

Kapitan Maczulski prowadzi od 1963 roku notatnik, w którym codziennie zapisuje, co robił na służbie: jak przesłuchiwał, pisał notatki służbowe, meldunki, wyjeżdżał w teren, udawał się do wypadku... Myślę, że byłaby to lektura tak samo pasjonująca jak relacje i wspomnienia partyzantów czy funkcjonariuszy pracujących w pierwszych latach po wyzwoleniu. Relacja przy tym wiele mówiąca o dzisiejszym polskim społeczeństwie. Lecz na propozycję druku kapitan Maczulski odpowiada: „jeszcze za wcześnie". Może poczekamy do następnej „okrągłej" rocznicy?

MP

BEZ METOD ZNACHORSKICH

Dokończenie ze str. 1

Akademię Policyjną, przekształcając Instytut Policyjny w Hiltrup.

ASW, będąc uczelnią resortową, musi posiadać nachylenie specjalistyczne i zarazem pragmatyczne, zarówno w zakresie programu nauczania, jak i podejmowanej działalności badawczej. Dbając o zasadniczą jedność pracy dydaktycznej i naukowej, wystrzega się jednak specjalizacji zbyt wąsko pojętej czy też zawężonego praktycyzmu. I to byłyby bieguny napięć, między którymi pulsuje działalność tej placówki. *Uważamy bowiem, że istnieje konieczność oparcia działalności praktycznej na wielu naukach, co oznacza, że za podstawę specjalizacji przyjmujemy wykształcenie ogólne. Podkreślamy to zagadnienie dlatego, że obecnie obserwuje się tendencje do zawężania zakresu wykształcenia ogólnego. Istnieje jeszcze, zwłaszcza wśród wielu praktyków, przekonanie, że specjalizacja jest przeciwstawieniem wiedzy ogólnej. Jest to błędny pogląd, gdyż przygotowanie specjalistów najwyższej klasy wymaga najlepszego ich wykształcenia właśnie w zakresie wiedzy ogólnej, społeczno-politycznej, humanistycznej i technicznej* — napisał Marian Lipka w „Zeszytach Naukowych" ASW (nr 1/1973, s. 15—16).

Dlatego też program nauczania dużo miejsca przeznacza dla dyscyplin ogólnych: filozofii i etyki marksistowskiej, ekonomii politycznej, polityki gospodarczej, logiki, informatyki, statystyki społecznej, cybernetyki, socjologii, psychologii, organizacji i zarządzania, metod i technik badań społecznych... Wielkie też znaczenie przykłada się do nauki języków obcych!

Istnieje problem, na ile te dyscypliny, wykładane częstokroć przez „cywilów" spoza resortu, dałyby się w jakiejś mierze ukierunkować właśnie resortowo. I są próby pomyślnego rozwiązania tej kwestii. Uczelnia chlubi się, że istniejąc dopiero dwa lata zdołała doprowadzić do habilitacji trzech swoich pracowników, zaś do doktoratu — pięciu. Pośród doktoratów warto tutaj wymienić dwa tematy: „Zachowanie się osób podejrzanych w stressie przesłuchania" (jako próbę resortowego nachylenia problematyki psychologicznej) oraz „Wartości i normy etyki zawodowej funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej" (jako analogiczną próbę ukierunkowania problematyki etycznej). W pierwszym przypadku narzędzia badawcze psychologii służą skonstruowaniu praktycznej strategii przesłuchania podejrzanych, w drugim — narzędzia etyki marksistowskiej zbudowaniu normatywnego wzoru osobowego funkcjonariusza MO.

W ramach zakładu filozofii i etyki marksistowskiej prowadzi się badania nad ogólnometodologicznymi problemami patologii życia społecznego, są wykłady na temat walki z rewizjonizmem i dogmatyzmem, będącej prawem historycznego rozwoju marksizmu... W zakładzie podstaw nauk politycznych organizuje się seminaria magisterskie na temat antykomunistycznych doktryn imperializmu i ich dywersyjnej roli, ochrony interesów PRL na odcinku współpracy z zagranicą... Jesienią tego roku studenci ASW będą uczestniczyć w ogólnopolskim, a zorganizowanym w Lublinie, sympozjum studenckich kół naukowych, poświęconym doktrynerom antykomunistycznym.

Obok dyscyplin o ogólniejszym charakterze program nauczania ASW zawiera, oczywiście, problematykę ściśle specjalistyczną, na którą kładzie się nacisk główny: taktykę i technikę kryminalistyczną, kryminologię, prawo karne, materialne i procesowe, metodykę postępowania przygotowawczego, taktykę specjalną, ochronę bezpieczeństwa ruchu drogowego...

I tutaj także wyłaniał się pewien problem. Jak wieloletnich praktyków resortowych o głębokiej wiedzy specjalistycznej, posiadających niejednokrotnie stopnie naukowe, lecz nie zawsze mających dostateczne przygotowanie pedagogiczne, wdrożyć do pracy ze słuchaczami? I otóż od początku istnienia uczelni prowadzi się cykl doskonalenia zawodowego kadry specjalistów ASW w zakresie podstaw nauk pedagogicznych (wybranych zagadnień pedagogiki ogólnej, psychologii, dydaktyki, teorii wychowania, struktury i organizacji szkolnictwa), podobnie zresztą jak i „cywilnych" pracowników ASW doskonali się w zakresie specyfiki i aktualnych problemów resortu Spraw Wewnętrznych.

Taka jest droga uczelni do ukształtowania zwartego zespołu wychowawców a zarazem naukowców, którzy potrafiliby pogodzić osobiste ambicje zawodowe z nadrzędnym celem placówki — kształceniem kadry resortu. Jak bowiem stwierdził Stanisław Kania podczas pierwszej inauguracji roku akademickiego — *Zasadniczym zadaniem Akademii jest kształcenie kadry, a zatem zasadnicze jej funkcje sprowadzają się do dydaktyki. Nie pomniejszamy też znaczenia pracy naukowo-badaw-*

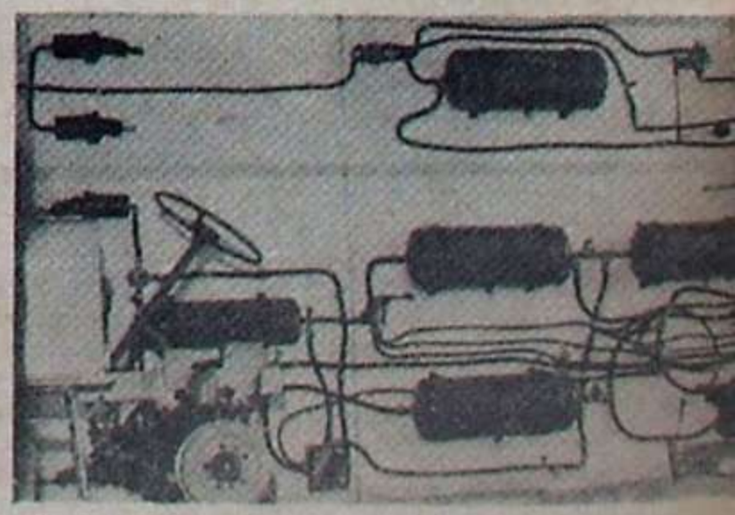

W pracowni ruchu drogowego

Kamana str. 8

Porucznik Łyś

MIĘDZYRZEC Podlaski liczy 14 tysięcy mieszkańców. W skład gminy o tej nazwie wchodzi 35 wsi, zamieszkałych przez 11 tysięcy osób. Cały ten teren obsługuje jeden komisariat Milicji Obywatelskiej, którym kieruje porucznik Aleksander Łyś — szczupły, średniego wzrostu, urodzony w 1933 roku na Zamojszczyźnie.

Klatki schodowe secesyjnej kamieniczki przy ulicy Warszawskiej 33, gdzie znajduje się komisariat, wymalowano niegdyś w motywy pejzażowe, nie można powiedzieć, całkiem przyjemne dla oka i rozległe. Ktoś jakby przewidział, że przyszłych użytkowników obiektu należy oswajać z terenem i odległością: 20 km dzieli miasto od najbardziej odległej wsi, pozostającej pod opieką międzyrzeckiej milicji, która dysponuje samochodem marki „Nysa" i kilkoma motocyklami.

Przy pomocy niewielu ludzi i takiego oto sprzętu mechanicznego Aleksander Łyś czuwa nad spokojem 25 tysięcy obywateli, co z oczywistych względów nie jest sprawą łatwą. Chciałoby się nawet powiedzieć, że to piekielnie trudna kwestia. Jeśli jednak porucznik już siedem lat daje sobie jakoś radę w Międzyrzecu, osiągając okresowo nawet 95 proc. wykrywalności przestępstw...

Pojawił się w mieście w lipcu 1967 roku, mając za sobą już dziesięć lat milicyjnej służby, którą zaczynał od poziomu zwykłego funkcjonariusza we wsi Sitno w pow. zamojskim. W Międzyrzecu zaczął od dokumentnego przemeblowania komisariatu, wróć — zaczął od urządzenia wnętrz obiektu, które do tego czasu przedstawiały się co najmniej skromnie. Nawiązał bliskie kontakty z zakładami pracy, uzyskując od nich to i owo: a to biurka, a to fotele, dywany miękkie, centralną rozmównicę łączności wewnętrznej. Na ścianach powiesił reprodukcje ilustracji Andriolliego do „Pana Tadeusza" oraz „Tratwy Meduzy" Gericault. Zadbał o remont i wymalowanie tych kilku wysokich pokoi. Sekretarka troszczy się o kwiaty, flankujące sztandar ORMO, ufundowany przez zakłady pracy kosztem 13 tysięcy złotych. „Milicja powinna się dobrze prezentować", twierdzi porucznik.

Ale komisariat milicji to nie salon kosmetyczny, estetyczna sceneria nie jest w stanie przesłonić ciężkiej codziennej roboty milicjanta. Międzyrzec leży „na trasie": do Warszawy, Lublina, Białej Podlaskiej, Łukowa i Radzynia, co ułatwia komunikację i sprzyja powstawaniu wypadków drogowych. Istnieje tu 40 mniejszych i większych zakładów pracy, jest to najbardziej uprzemysłowiony rejon powiatu radzyńskiego. W rezultacie przestępczość wśród młodzieży urasta do poważnego problemu. W Międzyrzecu żyje spora grupa Cyganów, których zdecydowana większość nigdzie nie pracuje. Z czego się utrzymują? — wie tylko Milicja Obywatelska, sądy i panowie z tzw. mordowni, zastępującej właściwie wszystko: dom kultury, klub towarzyski, salę widowiskową etc.

Więc porucznik Aleksander Łyś przebywa w komisariacie bez mała 14 godzin na dobę: od ósmej rano do dziesiątej wieczór. Wyprawia funkcjonariuszy w teren i „rozlicza" ich ze służby. Musi to robić osobiście, bo nie ma zastępcy. Niejednokrotnie wstaje w nocy, obudzony dźwiękiem telefonu, albowiem sytuacja wymaga jego decyzji, dyżurny milicjant czeka na rozkaz zwierzchnika. Szczęściem porucznik mieszka naprzeciwko komisariatu, w służbowych oknach przegląda się lokal rodzinny.

Ożenił się wcześnie, mając 23 lata. Sądzić należy, że motywy tego kroku były zwyczajne, na pewno nie przeczuwał nawet, czym stanie się dla niego w przyszłości rodzina: jedyną sferą życia prywatnego i towarzyskiego. Od rana do późnych godzin wieczornych porucznik Łyś przebywa w komisariacie, albo w terenie. Po służbie je kolację, bilansując z żoną sprawy familijne, które wymagają sporo zabiegów. Syn uczy się w trzeciej klasie miejscowego liceum, uczy się dobrze i „na pewno pójdzie na studia", córka uczęszcza do pierwszej klasy Technikum Medycznego w Łukowie. Mieszka z koleżanką na stancji, każda z nich płaci miesięcznie 500 złotych — tyle samo, co w Lublinie, prawie tyle, jak w stolicy. Żona porucznika nie pracuje zawodowo, więc o kupnie samochodu nie ma co myśleć, „wueska" musi na razie wystarczyć. Zarobki są niezłe, prawda, ale kształcenie dzieci i utrzymanie kosztują.

Aleksander Łyś nie zna życia towarzyskiego, ale zna ludzi i swój teren; gdyby podliczyć jego znajomości, mogłoby okazać się, że pod względem statystycznym jest to najbardziej towarzyski człowiek Międzyrzeca. Z tytułu służby kontaktuje się z pospolitymi opryszkami, których tu naprawdę sporo. Piją wódę, okradają pijanych kompanów, maltretują najbliższych — drobne złodziejskie męty, uciążliwe przecież. Ale są też lepsi cwaniacy, amatorzy mienia społecznego, które ściągają z placów budowy i zakładów produkcyjnych. Po cichutku działają również waluciarze i pracują bimbrownie, otoczone „opieką" ludzi starych, z którymi ani milicja, ani sądy nie bardzo wiedzą co robić. Jak tu zamknąć do więzienia 70-letnią staruszkę o nadwerężonym zdrowiu?! W ubiegłym roku zdarzyło się nawet zabójstwo na tle złodziejsko-paserskich porachunków. To jednak wypadek zupełnie wyjątkowy, w przestępczych rejestrach dominują kradzieże, często niestety popełniane przez nieletnich.

Grupa milicjantów: młodzi ludzie z Międzyrzeca i Białej Podlaskiej, tworzący jeden ze sprawniejszych komisariatów MO. Jak to się mówi — mają wyniki. Chyba także dlatego, że porucznik Łyś od dawna realizuje zasadę współdziałania ze społeczeństwem. Międzyrzeckie ORMO liczy 280 osób: „dobra organizacja". Okresowo w zakładach pracy kierownik komisariatu urządza spotkania z aktywem, podczas których przedstawia m. in. stan zabezpieczenia majątku zakładowego przed kradzieżami. Jako członek egzekutywy KM PZPR i radny MRN, konsekwentnie wnosi pod obrady kwestie bezpieczeństwa, ładu i porządku w mieście oraz gminie. W tej swojej działalności nie napotyka spraw niezwykłych, nie dochodzi do rozwiązań olśniewających, które weszłyby do annałów Interpolu, czy do archiwum autora powieści kryminalnych. Wykonuje zwykłą, ale jakże potrzebną robotę. Raz tylko los zesłał do Międzyrzeca przypadek bardziej egzotyczny, wpisany w postać młodej i przysadzistej raczej damy, która w wielu miejscowościach skutecznie przekonywała poważnych ludzi, że jest przedstawicielką znanej gazety, zyskując w rezultacie trwożny szacunek u swoich interlokutorów. W Międzyrzecu zaczęła z rozmachem, lecz szybko została zdekonspirowana — przez byłych i aktualnych milicjantów oraz naczelnika miasta. Prawo wygrywa, gdy ludzie nie tracą zdrowego rozsądku.

Na pytanie, jak porucznik czuje się w tej profesji, odpowiada krótko: — Wciągnęło się.

Aleksander Łyś stracił rodziców w Oświęcimiu. Miał dziewięć lat, kiedy został wysiedlony przez Niemców z Zamojszczyzny. Po wyzwoleniu chodził do szkół, a następnie znalazł się w jednostce artylerii przeciwlotniczej w Warszawie. Stamtąd skierowano go do szkoły wojskowo-politycznej w Łodzi, którą opuścił w 1956 roku w stopniu podporucznika. Zaraz potem trafił do wspomnianego Sitna. W 1958 roku przebywał na kilkumiesięcznych kursach w Lublinie i Iwicznej w powiecie piaseczyńskim. W tej ostatniej miejscowości uzyskał kwalifikacje komendanta posterunku. Rok później taką właśnie funkcję pełnił w Krasnobrodzie, następnie w Szczebrzeszynie i Hrubieszowie, gdzie służył w latach 1962—1967. Po tych peregrynacjach zatrzymał się w Międzyrzecu Podlaskim. Miał duże doświadczenie milicyjne i ludzkie: niejednemu łobuzowi popędził kota, niejednemu słabeuszowi pomógł w życiowych sprawach.

— Milicyjne? Ludzkie? To chyba nie tak. Aby wszystko było w porządku, te dwa zagadnienia muszą w praktyce stanowić jedność — komentuje porucznik Aleksander Łyś.

Adam Tyczyński

Fot. M. Galas

Fot. M. Galas

czej, ale w pracy tej należy podejmować tematy, które wypływają z życia, z funkcji resortu; nie stać nas bowiem na rozpraszanie wysiłków.

Główny, trzyletni tok studiów stacjonarnych obejmuje oficerów milicji i służby bezpieczeństwa do 35 roku życia, którzy posiadają maturę oraz ukończoną szkołę oficerską i pracują w organach resortu. Na studia więc przychodzą ludzie dojrzali, o ukształtowanym trybie życia i przyzwyczajeniach, niejako wyrwani z miejsca zamieszkania i pracy, oderwani od rodzin i najbliższych przyjaciół (jeśli nie liczyć przysługującego słuchaczom ASW urlopu wypoczynkowego oraz krótkich urlopów okolicznościowych). Taka sytuacja stwarza potrzebę określonej dyscypliny w życiu uczelnianym. Wprawdzie nie odczuwa się tam atmosfery jakiegoś drylu rekruckiego, jednakże studenci obowiązani są w czasie zajęć nosić mundury, zaś grupy szkoleniowe posiadają swoich dowódców, wyłonionych spośród słuchaczy. Dyscyplina obowiązuje również pracowników uczelni, wprawdzie nie w zakresie umundurowania, ale sam byłem świadkiem, jak jeden z pracowników meldował zastępcy komendanta Akademii o zakończeniu egzaminów wstępnych. Nawet „cywilny" profesor staje się dowódcą słuchacza, z którym prowadzi zajęcia. Tutaj żartów nie ma i słusznie! Ale żeby nieco z dziennikarska pofiglować, spytam — co, jeśli profesorem jest kobieta? Mówiąc serio, myślę, iż ostateczne dotarcie obyczaju służbowego obcowania na ASW jest jeszcze kwestią pewnego czasu, albowiem tradycji w tym zakresie nie mamy zbyt rozległych.

Oglądałem pracownię ruchu drogowego, która, choć na razie zlokalizowana w pomieszczeniach zastępczych, daje pewne wyobrażenie o poziomie kształcenia na uczelni i jego perspektywach. Oto zespół osiemnastu rozsuwanych tablic, mogących służyć zarówno do pisania na nich kredą, jak i przymocowania plansz długotrwałego użytku czy też magnetycznego mocowania doraźnie potrzebnych wykresów i tabel. Gdyby to urządzenie, projektowane i wykonane w kraju, było automatycznie sterowane, można by je nazwać cudem techniki dydaktycznej! Oto wielofunkcyjny rzutnik slajdowy, sterowany automatycznie z dowolnego miejsca sali wykładowej, co już jest zasługą pracowników ASW. Przy pomocy tego rzutnika zaprezentowano mi przegląd światowego systemu radarowego na usługach służb drogowych, począwszy od naszej „starej babci", czyli najstarszego polskiego radaru drogowego, a skończywszy na najbardziej przemyślnych radarach niemieckich, montowanych na tablicach rozdzielczych samochodów. W tym roku pracownia otrzyma magnetowid produkcji japońskiej i będzie się szkoleniowo filmować drogowe zabezpieczenie Wyścigu Pokoju, tworząc zaczątek magnetowidowego archiwum. Stosunkowo najprostszą pomocą naukową jest w tym zakładzie kompletny układ hamulcowy „jelcza" z przyczepą oraz układ hamulcowy i kierowniczy „fiata 125p" i „warszawy".

W zakładzie bezpieczeństwa ruchu drogowego, któremu to zakładowi służy opisywana przeze mnie pracownia, kształci się kadrę kierowniczą określonych ogniw kierowniczych ruchu drogowego, czyli jakby superkierowników, jeśli mnie fantazja dziennikarska nie poniosi. W każdym razie powstawać tam będą prace magisterskie o organizacji pracy inspektoratu ruchu drogowego, kierowaniu tym inspektoratem... Nie dubluje się więc programu podoficerskich szkół ruchu drogowego, lecz tworzy teoretycznie i praktycznie jakości nowe.

Urządzenia pracowni ruchu drogowego pozwalają stwierdzić, że potrafimy korzystać z cudzych doświadczeń technicznych, ale też że nie musimy się wstydzić własnych rozwiązań. W tym poglądzie utwierdza mnie informacja uzyskana w organizującej się pracowni zakładu techniki kryminalistycznej, iż polski sprzęt optyczny do badania mikroślADów przewyższa produkty firmy „Leica". W ogóle jeśli idzie o sprzęt kryminalistyczny, jakościowo nie stoimy wcale gorzej niż rozwinięte kraje zachodnie. ASW, która organizuje własny ośrodek informacji naukowo-technicznej, umożliwia stwierdzenie tego faktu, choć dopiero kompleksowe prace na tej uczelni mogą ułatwić metodyczne przenoszenie naszych osiągnięć technicznych ze skali laboratoryjnej na skalę przemysłową. Jest może jedynie ironią losu, iż często łatwiej nam uporać się ze skonstruowaniem skomplikowanego urządzenia, niż z wyprodukowaniem zwykłej szafy laboratoryjnej, na co narzekania dają się słyszeć w niejednej uczelni kraju.

Rezultaty pierwszej sesji egzaminacyjnej w Akademii, która przecież ciągle jest placówką w stadium stawania się, trzeba uznać za wyjątkowo pomyślne. Jak informuje kronikarz „Zeszytów Naukowych" — do sesji przystąpili wszyscy studenci, średnia ocena wyniosła 3,9 (za kołokwia — 4,0). Byłyby to pierwszorzędne rokowania na przyszłość i są to pierwszorzędne wyniki na dziś.

Nadeszły czasy, w których społeczeństwo chce mieć pewność, że ludzie kierujący życiem społecznym i ekonomicznym posiadają odpowiedni zasięg wiedzy, że stać ich na decydowanie zgodnie z najnowszymi zdobyczami nauki, że nie muszą sięgać do metod znachorskich — powiedział Edward Gierek.

Akademia Spraw Wewnętrznych ma szansę te nowe czasy tworzyć i odpowiadać na ich wezwanie.

Maciej Podgórski

Kamena str. 9

Z WIERSZY STUDENTÓW LUBELSKICH

Wojciech Pestka

PISMO

(fragment)

nad miastem wstają żądła trąb
głośno dyskutują heroldowie
rusza grzebny orszak
zaprzężony w woły płaczu
wlecze ciężkie ramiona dróg
po raz pierwszy

płynie łodzią posoki
padły chyże sokoły stóp

w drzwi głęboko zarył się niepokój
ciekawość obnażywszy tłuste brzuchy pierzyn
popędziła za miasto

oto on
w płaszczu ciała
przez kurz
cięty klingą słońca
w oczy
zanim zdążył wytropić nóż
pada

kula krwi
po ziemi się toczy

rzekli
to jest jałowa
niegodna pługa
ona zwróci ci plon
tu padnie ziarno

w błazeńskiej czapce
w majestacie polnych dzwonków
leży

szarpnęły język czarne suki jęki
pod czaszką płonie srebro śniętych ryb
twarde supły lęku z krwią odpłynęły

Marek Kusiba

SPŁYW RODZINNY

I

z matką żyliśmy jak psy
wiernie Od czasu
do czasu rozprawiczała nas
fatalna aura
wypadek przy pracy w lesie
kleks w kajecie
ojciec nie pił
była wielka powódź pamiętam teresa biegła
zatamować
krew ja z uciętego zdania wydobyłem sens na
drzwiach
biblii przypłynął brat i wszystko przepadło teresa
potknęła się i bęc
regularnie rodzi raz do roku

II

z metaforą żyliśmy jak psy
i koty Od czasu
do czasu spuszczali nam z łańcucha
żyły charta krwi
zaczynała się gonitwa
tupoczą ulice co wieczór kałuża rośnie na stole
ojciec mimo wszystko nie pije stół trzeszczy
pod ciężarem tradycji i niebo nie sypiają ze sobą
raczej jutro i piekło dziura w dachu miejsce
na głowę
sedes chmur jemu jest niedobrze pozwólcie mu

III

moja lewa noga ma na imię krysia
trzymam ją krótko żylaka sznurówką
piecze skóra w miejscu składania
pozbawionego krwiobiegu zdania
teresa pracuje na akord poci się jak papier
resztkami żywicy ona jeszcze żyje a nadto żyje
im się wydaje że to łzy albo co gorsza krew
ojciec dalej nie pije nie mogę tego zrozumieć
matka uciekła z domu pada deszcz kałuża rośnie
na stole rośnie i las za oknem też w rozmowie
tekturowa piramida buty pod sufit czy coś w tym
rodzaju nie znosz tego z autopsji pod sufit nieba
jemu jest niedobrze pozwolono mu wreszcie rzygać
czekamy na wyniki

Kamena str. 10

UCZEŃ ULIZANY?

Artykuł dyskusyjny

Eliza Sokołowska

NOWA, rozszerzona ocena ze sprawowania, wprowadzona do szkół podstawowych i średnich w roku szkolnym 1973/74, przyjęta została przez ogół uczniów, nauczycieli i rodziców z dużym zainteresowaniem, ale też wywołała wiele sporów i dyskusji, jak każde novum.

Zgodnie z ustaleniami władz szkolnych — przy wystawianiu ocen (wzorowej, wyróżniającej, dobrej, odpowiedniej i nieodpowiedniej) bierze się pod uwagę trzy elementy: stosunek ucznia do obowiązków szkolnych, aktywność społeczną i kulturę osobistą. Należy podkreślić, że wymagania stawiane przed młodymi ludźmi są bardzo wysokie, uświadamiają uczniowi, że jeżeli zechce otrzymać ocenę wzorową lub wyróżniającą, musi na nią solidnie i uczciwie zapracować. W tym kontekście ocena ze sprawowania wystawiona na świadectwie szkolnym ma wyrażać całościową opinię o młodym człowieku, stanowić wizytówkę przy wstępowaniu na wyższą uczelnię lub przy podejmowaniu przezeń pracy.

Po rocznych doświadczeniach w stosowaniu nowej oceny nauczyciele mają już szereg spostrzeżeń i wniosków zebranych z codziennej praktyki szkolnej.

I tak okazuje się, że tryb ustalania oceny jest bardzo rozbudowany i „uszczegółowiony", obejmuje kilka elementów: samoocenę ucznia, ocenę jego zachowania przez klasę i aktyw młodzieżowy oraz podsumowującą, jawną i umotywowaną ocenę wychowawcy.

Samoocena to nic innego jak sprawozdanie ucznia o swoim zachowaniu przed klasą. Staje się to zazwyczaj dla chłopca czy dziewczyny bardzo kłopotliwe, wywołuje przeważnie zdenerwowanie, objawiające się często... milczeniem. Nauczyciel, któremu ucieka czas, zaczyna ponaglać, co w rezultacie doprowadza do jeszcze większego zmieszania ucznia. Praktycznie więc samoocena raczej nie wychodzi.

Następnym ważnym ogniwem procesu oceniania jest opinia, którą wypowiada o uczniu klasa lub samorząd. I właśnie w tym momencie mnożą się znowu trudne sytuacje, a nauczyciel, widząc działające poczucie uczniowskiej solidarności, staje niejednokrotnie bezradny. Uczniowie oceniają kolegów powierzchownie i niechętnie, często zawyżają oceny, nawet samorząd klasowy nie wyrazi negatywnych uwag o koledze czy koleżance.

Szczegółowe oceny wystawiane uczniom przez nauczycieli danej klasy mają tę wadę, że często zwracają uwagę na rzeczy mało istotne, drobiazgowe. Świadczą o tym zeszyty spostrzeżeń będące w posiadaniu wychowawców klas, gdzie spotykamy uwagi w rodzaju: *uczennica nosi czerwone wstążki, nie przestrzega obowiązującego stroju uczniowskiego* itd. Na pewno nie wolno lekceważyć pozornie drobnych wydarzeń, sprzecznych z regulaminem szkoły, ale też nie mogą one decydować o końcowej ocenie, tym bardziej że trzykrotnie wpisana uwaga pozbawia ucznia oceny wzorowej, gdyż „wzór" nie może mieć żadnych uchybień, musi być bez skazy.

Należy wprawdzie podkreślić, że taka konieczność współdziałania nauczycieli, aktywu młodzieżowego i uczniów daje możliwość bardziej wydajnej pracy wychowawczej w szkole, ale uświadamia również, jakie trudności stoją przed nauczycielem-wychowawcą, który musi wystawić oceny w pełni obiektywne i zgodne z tzw. „sumieniem pedagogicznym", a zarazem uwzględniające wszystkie wymienione elementy.

Jedna ze znanych szkół lubelskich rozwiązała problem w ten sposób, że zastosowała „specjalne" metody mające ułatwić ocenianie uczniów. Taki oto obrazek z klasy III b. Do zeszytu spostrzeżeń, będącego w posiadaniu samorządu klasowego, każde z dzieci ma obowiązek wpisać uwagę o koleżance lub koledze. Krąży więc zeszyt po całej klasie, a dzieci wypisują uwagi w rodzaju: *Edek Kowalski schował się za firankę, Miłek Z. nazwał mnie pudlem, Kazik M. kazał się pocałować w nos.* Cała ta groteskowa parkinsonada, w której uczestniczą małe dzieci, jest zupełnie pozbawiona sensu. Trudno ukryć prawdę, że w ten sposób już od najwcześniejszych lat uczy się zawiści i złośliwości, stwarza niezbyt przyjemną atmosferę w klasie, zabija wrażliwość. W efekcie dzieci wzajemnie się oskarżają, upakarzają i krzywdzą. Nasuwa się spostrzeżenie, że takie posunięcia utrudniają wystawianie oceny ze sprawowania; należałoby sprawę tę przemyśleć gruntownie.

Rozmowy z wychowawcami uświadamiają, że uczciwe realizowanie wszystkich postanowień zawartych w zarządzeniu o nowej ocenie ze sprawowania wymaga zbyt dużego wkładu czasu, tego drogocennego czasu, brakującego i tak już przepracowanemu i obciążonemu obowiązkami wychowawczymi nauczycielowi. Przepełnione, bo liczące 40, a nawet 47 uczniów, klasy stwarzają dodatkową trudność, gdyż na jednej godzinie wychowawczej nauczyciel może

Fot. J. Mendychowski

ocenić zaledwie kilku uczniów. Sprawa komplikuje się, gdy powstaje różnica zdań między uczniem a klasą i nauczyciel musi mieć więcej czasu, aby obie strony przekonać i pogodzić. Pozostają zatem dodatkowe godziny pozalekcyjne, jeżeli nie chce się sprawy tak poważnej potraktować formalnie. Przy okazji warto wspomnieć, że w szkołach — kombinatach, gdzie zajęcia trwają od godziny 7.00 do 20.45, jest rzeczą praktycznie niemożliwą wspólne spotkanie wychowawcy z nauczycielami uczącymi w danej klasie, opiekunami organizacji i młodzieżą.

Uzasadniony niepokój budzi również inna sprawa, a mianowicie związane z oceną ze sprawowania preferowanie pracy społecznej w ścisłym wymiarze godzin. Młodzież za wszelką cenę pragnie się wykazać, pilnuje więc ilości godzin czy punktów za wykonaną pracę, np. opiekę nad emerytką czy samotną staruszką, która musi podpisywać karteczkę, ile to uczeń poświęcił dla niej godzin. A oto przykład: *Zaświadczam, że uczennice klasy* (wymienione nazwiska) *sprzątały mieszkanie — 1 godz., przygotowały obiad — 40 minut, chodziły do biblioteki po książki — 30 minut,* data i podpis emerytki. Przerażające jest to, że uczniowie przeliczają każdą wykonaną czynność na godziny, pracują tylko dlatego, aby mieć jak największą ilość roboczogodzin i wszelkimi sposobami pragną się z nich wyliczyć, bo na tym korzysta się nie tylko samemu, ale także dostarcza klasie cennych punktów do tabeli współzawodnictwa. Zimna buchalteria, sprzeczna z obywatelską świadomością potrzeby społecznego działania, sprowadza obowiązek pracy społecznie użytecznej do sytuacji antywychowawczych.

Wydaje się, że w ten sposób nie kształcimy zaangażowania i postaw społecznikowskich, raczej niepotrzebnie przekreślamy pracę „niewidzialnych rąk", obojętnie patrząc na cwaniactwo, wyrachowanie, troskę o osobiste korzyści. Chociaż trudno mieć pretensje do młodzieży, że radzi sobie jak może, bo zebranie odpowiedniej liczby godzin za pracę społeczną to sprawa nie taka prosta, jak nam się wydaje. Zdarza się bowiem, że w niektórych szkołach nauczyciele wychodzą z założenia, iż liczba przepracowanych godzin społecznych jest podstawowym miernikiem aktywności ucznia. Tę nieprawidłowość interpretacji zarządzenia należałoby jak najszybciej usunąć.

Wiele niedomówień zawiera kryterium „kultura osobista", gdzie bierze się pod uwagę... uczciwość ucznia w kontaktach z dorosłymi i rówieśnikami, uczynność, kulturalny sposób bycia, przestrzeganie zasad higieny, nieuleganie złym wpływom otoczenia i nałogom. Nauczyciele mają poważny problem i zastanawiają się, czy są w stanie sprawiedliwie ocenić kulturę osobistą ucznia, skoro trudno uchwycić i „zmierzyć" uczciwość, solidność itd. Zresztą różni nauczyciele o różnej kulturze i różnym zaangażowaniu społecznym stosują różną skalę ocen za te same przewinienia. Kryteria są więc zbyt płynne.

Najwięcej nieporozumień i konfliktów wśród rodziców i uczniów wywołuje ocena dobra, którą młodzież traktuje jako obniżoną ocenę ze sprawowania. Nic bardziej błędnego, ale niestety nie sposób temu wszystkiemu zapobiec. Mówi uczennica: *Kto mi uwierzy w zakładzie pracy, że jest to ocena pozytywna, a nie obniżona, tym bardziej że są oceny lepsze: wzorowa i wyróżniająca?* Tłumaczenie, iż ocena dobra to dawna bardzo dobra, nie zawsze jest zaakceptowane przez uczniów. Jest to ocena „dana" już uczniowi w chwili rozpoczęcia nauki w szkole. W instrukcji wyraźnie czytamy: *Dla wyrażenia oceny ze sprawowania ustala się skalę słowno-opisową, czyniąc punktem wyjścia ocenę dobrą. Wychodząc od tej oceny, która oznacza stan zadowalający, przyjmuje się dwie oceny wyższe od stanu zadowalającego oraz dwie oceny niższe od tego stanu.* Coś tu zostało niedopowiedziane.

Wydaje się, w końcu, że nowy system oceniania tworzy wizerunek ucznia szablonowego, ułżnanego zewnętrznie, zawsze oceniającego siebie pozytywnie, trochę jednostronnego. Przytoczone wypowiedzi są typowe: *Do szkoły chodzę w przepisowym stroju, nie palę papierosów na terenie szkoły, nie używam wulgarnych słów, jestem uczciwa, uczynna i grzeczna, nie lekceważę regulaminu szkolnego, nie popadam w konflikty z klasą,* albo: *W czynie społecznym przepracowałam 29 godzin, chodzę w prawidłowym stroju szkolnym, nie opuszczam lekcji, nie posługuję się językiem wulgarnym, nie palę papierosów w środowisku prywatnym, a w szkole pełnię funkcję przewodniczącej klasowego koła LOK.*

Aby nie być posądzoną o bezpłodną gderliwość, proponuję wymianę poglądów, doświadczeń i szerszą dyskusję na ten temat. Sądzę, że przyniosłaby ona wiele korzyści, uświadomiła konieczność szukania najlepszych rozwiązań, a leży to nie tylko w interesie nauczyciela, ale przede wszystkim ucznia i szkoły.

Znowu w Lublinie

Dokończenie ze str. 1

niedzielnych herbatach panie z miejscowej kolonii anglojęzycznej miały do obsługiwania interesujących cudzoziemców. Nie trzeba było cudów, żeby zostać interesującym cudzoziemcem. W naszym wypadku wystarczał fakt przyjazdu z Polski. Tak samo jak w pensjonacie londyńskim czasu wojny Polska objawiła się szwajcarskiej pacyfistce w krwiożerczej postaci oficera, który zabił mysz w gabinecie Mme Meyer — tak w roku 1971 przybysze z Polski przywodzili na myśl koniec świata. Administratorka ulubionego motelu Amerykanów, żona anglisty z uniwersytetu w Palermo, nieśmiali brodacze, studiujący archeologię, obwieszone amuletami córki chicagowskich mafiosi, przyglądali się nam spod oka, milcząc albo świadcząc przesadne uprzejmości, żeby czymś nie sprowokować albo nie urazić istot reprezentujących podejrzane walory pod biegunem północnym. Swoboda wracała, kiedy się okazywało, że jemy, mówimy i śmiejemy się „jak wszyscy" — wtenczas Polska występowała w roli sympatycznej bajczarki, Szeherezady.

Nie bardzo wierzyliśmy, że Filip przyjedzie do Kazimierza. Właśnie przyjechał. Pogody są melancholijne, godzinami gadamy, jemy bigos, a przez resztę dnia obwozimy gościa po okolicy, którą tym skwapliwiej ogląda, im deszcz uparciej pada, bo klimat przypomina mu młodość w Oxfordzie, a zresztą — mówi — w pogodny dzień wszystko pięknie wygląda, za to prawda słońca się boi.

I tak zajeżdżamy do Lublina. Jakubówka, gdzie się urodził Jerzy, jest teraz częścią miasta, jego matka leży w nowej kwaterze cmentarza, gdzie nie tak dawno rosło zboże, ulice mają inne nazwy. Jerzy spiera się z przechodniami, żądając nie istniejących adresów, albo poucza Filipa o Unii Lubelskiej. Zatrzymujemy się koło obelisku i tu, na tle pomnika, obok podających sobie ręce Polski i Litwy, ustrojonych w starogreckie szaty, jawi się dwudziestoparoletni Kuncewicz, schrypnięty od krzyku, natchniony, w rozchełstanym palcie, rok 1916, od ulicy napiera wojsko, jesień taka jak dziś, tłum się ugina, deszcz nie gasi wiecowego oratora, wrzeszczy na tłum: „Stać! Nie cofać się!" Tłum sztywnieje i wrzeszczy za nim: „Precz z zaborcami! Żądamy niepodległości!" Wojsko odstępuje...

Mignęło i uleciało. Tyle unii, protestów, programów uleciało, a koło mnie siedzi i wiezie Filipa na Zamek ciągle ten sam uparty fantasta, który w wieku lat sześćdziesięciu pięciu zaczął pisać sztuki teatralne, żeby dalej krzyczeć to samo co w młodości już nie spod pomnika na placu, tylko z pustej sceny swego pokolenia. I jakiż to — nieborak — dał tytuł pierwszej sztuce? Swoje własne przezwisko: Biały Wróbel, czyli wyrodek wśród beztrosko ćwierkającej gromady.

Chcę Filipowi pokazać kaplicę na Zamku, pragnę się pochwalić przed znawcą ikonografii chrześcijańskiej freskami z XIV wieku. Zjawiamy się późno. Szatniarki w muzeum nie robią nadziei, pani kustosz odeszła, kaplica w remoncie nie jest do zwiedzania. Jerzy się oburza. „Nie do zwiedzania? Dla mnie? Przecież jestem dawnym lokatorem". Konsternacja. „Pan tu mieszkał? Jak to? Tu było więzienie". „Właśnie! Miałem tu pokoik u Austriaków i nawet mi strażnik pokazywał na podwórcu szubienicę, na której miałem wisieć... Jakoś nie zdążyli". Pani kustosz się znalazła, kaplica jest do zwiedzenia, klucze są. Filip wspina się po rusztowaniach, wspinam się ja, film się odwija gwałtownie wstecz i poprzez stacje Męki Pańskiej, zapisane w pamięci, nawraca do czasu, kiedy „Bóg się rodził" w zapowiedziach proroków, a potem „moc truchlała" w obawie przed „Barankiem Bożym". Filip promienieje. „Kochani ludzie — woła — tyle rzadkich symboli w jednej serii? Taki szczegółowy zapis obok mistyki! Taki wytworny koloryt! Patrzcie na tę Trójcę Świętą w postaci trzech aniołów nawiedzających Abrahama i Sarę — to się spotyka prawie wyłącznie na Wschodzie. Spójrzcie na Wieczerzę Pańską... Stół owalny. W malarstwie zachodnim apostołowie z Chrystusem zawsze siedzą przy stole prostokątnym; stół owalny, to Bizancjum. A tu Judasz ucieka chyłkiem od stołu z diabełkiem na ramieniu: to dowcip heretycki". — „A co robią te golasy obok drogi, którą Jezus jedzie na ośle czy mule?" — pytam. — „Jak to, co robią? Stoją. Kiedy Jezus w Palmową Niedzielę odbywał wjazd do Jerozolimy, w Judei było gorąco, była wiosna. Tubylcy na znak czci rzucali swoje suknie na szosę, aby przybić kurz, a koszul nikt wtenczas nie nosił". Otaczają mnie semickie twarze sprzed dwóch tysięcy lat, szumią judejskie palmy, bizantyjska Trójca Święta w postaci aniołów nawiedza Lublin w wieku XIV razem z księżniczką ruską, żoną neofity, Władysława.

Kaplica robi wrażenie ślepej latarni, której blask jest cały wewnątrz — światło płynące nie z witraży, tylko z murów i sklepień wymalowanych w ludzi, rośliny, zwierzęta i obłoki. Ani jednego cala kwadratowego bez malarstwa, czas przelewa się bezdźwięczną falą z jednej sceny w drugą, jedna wizja przegląda zza drugiej, Jagiełło czeka na wroga, to znów klęczy przed „Bogiem sławieną Maryją". Gdzie spojrzeć — nie ma ściany ani stropu, jest nadrzeczywistość tak samo żywa dziś, jak była zawsze.

Ciągle pada. Przechodzimy Bramą Krakowską w zaułki, w prześwity, na kamienicy Sobieskich medaliony płaczą brzydkimi plamami, trybunał, gdzie urzędował dziadek Jerzego, Wyszyński, prezentuje fasadę Królestwa Kongresowego. Wsiadamy do auta, krętymi ulicami, coraz dalej od aniołów i królów dobijamy do nowej dzielnicy uniwersyteckiej imienia Marii Curie. Gromadki studentów z włosami mokrymi od deszczu — jak w Chicago, nie wiadomo chłopcy to czy dziewczyny — dźwigają książki i jakieś ciężkie z pewnością problemy, nie uwzględnione w podręcznikach; nawołują się, śmieją, skaczą, wyglądają weselej od amerykańskich kolegów. Filip rozmarzony. „Młodość tutaj jest szczęśliwa nawet w deszcz" — powiada. — „W Oxfordzie nie była szczęśliwa?" — „Czy ja wiem? — zastanawia się. — Pewnie była. Ale z Oxfordu jest bliżej do śmierci niż z Lublina". — „A z Taorminy?" — „Jeszcze bliżej. Sycylijczycy są starsi od Anglików" — mówi Amerykanin.

Maria Kuncewiczowa

Fragment znajdującej się w druku książki pt. „Natura".

WIERSZE POETÓW Z NRD w przekładzie Jacka Pleśniarowicza

Ulrich Grasnick

DWORCE KOLEJOWE

Powiewające chustki,
białe proporczyki rozstania —
do ostatnich wagonów
wskakuje tęsknota —
wspomnienie odprowadza
ślad dymu na horyzoncie,
torom pozostaje
rozciągnięta na kilometry melancholia —

Samotność umie pisać listy,
teraz, gdy ze słów
zaczynamy budować mosty,
mosty, które się dziwnie
wyginają
pod ciężarem przestrzeni —

Teraz, gdy wiatr drzwi otwiera,
samotność porusza
skrzypiące zawiasy.

Wolfgang Tilgner

WCIĄŻ

Wciąż stare słońce
i nowy dzień
i wciąż życie stare
na swoim początku,
wciąż krok do rzeki,
do jeziora,
krok, który już
nie znajduje śladu,
wciąż droga przez trawę,
którą przeżyjesz,
droga przez wszechświat,
który ciebie przeżyje,
wciąż słowa i obrazy,
wymyślane na nowo,
wciąż różne zwycięstwa
z kolcami ran,
wciąż formuła, najnowsza
i najstarsza,
wciąż, wciąż od nowa poszukiwać
i odrzucać,
wciąż być zmęczonym nim nastanie wieczór
i budzić się, zanim zaświta.

NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

Piwo zostało nalane. Rozeszli się
pijani. Już po szorstkich stołach
nie piszą palce wskazujące. Sieć
przegranych zwycięstw wyschła. Tamte
rachunki uregulowano.
Gospodarz oczekuje nowych gości.

Stanisław Andrzej Łukowski

KOGUT

POWIADALI, że był to ambitny kogut, kto wie czy też nie najambitniejszy z rodu koguciego. Kwoki gdakały, że z tym już się urodził i że wysoko zajdzie lub też paskudnie skończy.

Kogut jednak nie zważał na to, postanowił był bowiem sobie, że będzie najlepszy z najlepszych.

Zwyczajem zwyczajnych kogutów wstawał o świcie i piał. Po jakimś czasie doszedł do takiej perfekcji, że kury gremialnie stwierdziły, iż kogut jest bezkonkurencyjny. Kogutowi jednak to nie wystarczyło. Wstawał więc wcześniej niż inne koguty i piał aż do utraty tchu. Kury zaczęły tęsknie do niego wzdychać, a po podwórkach rozeszła się wieść, iż ten i ów kogut zamierza utrzeć mu dzioba.

Po jakimś czasie kogut doszedł do wniosku, że samym pianiem do niczego nie dojdzie. Zrazu więc ukradkiem, później jawnie — nie dawało się bowiem tego na dłużej ukryć — zaczął trenować loty. Większość kogutów naturalnie poszła za jego przykładem, lecz niestety nie byli tak wytrwali jak on.

Pewnego dnia kogut doszedł do wniosku, iż już czas najwyższy podjąć generalną próbę. Otoczony gronem wielbiących go kur, wyczyszczony odświętnie do połysku, z dziobem zadartym do góry, zapiał i uniósł się, wznieciwszy obłok kurzu. Kury z rozdziawionymi dziobami śledziły jego karkołomny lot, aż do momentu, kiedy kogut straciwszy siły przysiadł na wieży. Wówczas z rozpaczy rozdzierająco zaczęły gdakać. Kogut już jednak tego nie słyszał, ba, nawet nie popatrzył w dół. Był bowiem — mimo chwilowego zmęczenia — upojony swym wyczynem.

Do dziś można go widzieć napuszonego i dumnego jak sterczy na jednej z bram miasta i nawet nie raczy spojrzeć w dół.

Czasami jednak pieje o świcie i w tym jego pianiu jest tyleż pychy, że wzleciał tak wysoko, jak i tęsknoty domowego koguta, który choć od czasu do czasu chciałby zejść na dół i zająć się zwykłymi sprawami zwykłego koguta.

KOZAK

BIEGAŁ tam, bo karuzela skrzyła się różnokolorowymi światłami, a Kozak czasami pozwalał mu się na niej przejechać. Ale najczęściej biegał tam, aby popatrzeć i zażyć tego wspaniałego kłębiącego życia, jakie leciało na niego ze wszystkich stron.

Szczególnie lubił patrzeć na dziewczyny, które — otulając nogi spódnicami — wrzeszczały z niekłamanym strachem, gdy chłopcy wyczyniając karkołomne ewolucje usiłowali je pocałować w locie.

Czasami w skotłowanym piasku pod cynową blachą strzelnicy odnajdował małe ołowiane pociski do wiatrówki. Cierpliwie wówczas odczekiwał do późnego wieczoru, aż Kozak pozwalał mu oddać kilka strzałów do papierowych kwiatów, bo płacących już nie było.

Kozak — ten mężczyzna o twarzy jak jedna blizna — sypiał w strzelnicy pod zszarpaną, brudną kołdrą, z której wystawały kłaki waty. Najczęściej wieczorami był już tak pijany, że z trudem utrzymywał się na nogach. Używał wówczas tego na wpół zrozumiałego języka, który budził w chłopcu jakiś nieokreślony strach oraz przemożną ciekawość. Ponieważ matka chłopca mówiła, że Kozak jest wenerykiem, więc chłopiec myślał, że to ta weneryczność przemawia przez krzywonogiego mężczyznę.

Kiedyś pobiegł tam wieczorem. Karuzela nie kręciła się, kolorowo pomalowane żarówki martwo zwisały na drutach, strzelnicę blokowała wzmacniana blachą klapa. Chłopiec długo rozmyślał o tym, co się mogło stać z Kozakiem.

Czasami i teraz się zastanawia, gdzie się podział Kozak i czy rzeczywiście był kozakiem.

Kamena str.11

„Grzechy" Misakowskiego

Marek Adam Jaworski

Fot. MAJ

STANISŁAWA Misakowskiego, poetę, sekretarza oddziału Związku Literatów Polskich w Koszalinie, poznałem niedawno, chociaż o jego poczynaniach na stanowisku kierownika Wydziału Kultury Prez. PRN (używam starej nazwy, bo rzecz dotyczy przeszłości) słyszałem wiele. Udało mi się go namówić do zwierzeń.

— Mam się panu wyspowiadać ze swoich grzechów? Przed dwudziestoma pięcioma laty byłem ostatni raz u spowiedzi. Ja mówię do księdza, że mam zachwianą wiarę w Boga, a on mnie wypytuje, ile razy i z kim... Ja znowu wracam do wiary, a on do kobiet. Tak mnie zraziło, że już więcej do konfesjonału nie poszedłem. I jakoś żyję...

— Przepraszam, czy pan pochodzi z Białegostoku?

— Że trochę zaciągam? Nie, ja, proszę pana, wychowywałem się na Kaukazie, w Stawropolu. Tam losy pierwszej wojny światowej rzuciły moich rodziców. W Stawropolu skończyłem szkołę średnią i studia rolnicze. Pierwsze wiersze pisałem w języku rosyjskim i nawet je drukowałem w lokalnej prasie. Niestety, żaden się nie zachował, choć byłyby dziś dla mnie miłą pamiątką. Wartości literackiej one jednak nie miały.

W tym czasie byłem pod wielkim wrażeniem poezji Niekrasowa, Lermontowa, Puszkina, Kolcowa, interesowali mnie angielscy i niemieccy klasycy. Z polskiej literatury znałem tylko Mickiewicza i Sienkiewicza i to w tłumaczeniach rosyjskich. Zresztą wówczas po polsku mówiłem bardzo słabo.

Po ukończeniu studiów pracowałem w zjednoczeniu sowchozów, a później w sowchozie im. Kujbyszewa na Ukrainie. Stosunki w pracy układały mi się bardzo dobrze. Wydaje mi się, że w ZSRR jest więcej bezpośredniości niż u nas. Przyszła wojna. Od młodych lat chorowałem na stawy, nie powołano mnie do wojska, ale zatrudniono przy budowie umocnień. Przyplątało się zapalenie stawów i znalazłem się w szpitalu. Wyszedłem z niego, gdy miasto zajęli już hitlerowcy. Szybko mnie zagarnęli i wywieźli do Rzeszy. Pracowałem u bauera w Brandenburgii. Tu zetknąłem się i zaprzyjaźniłem z wywiezionymi do Niemiec Polakami, dzięki nim, stale rozmawiając, lepiej opanowałem język polski.

W Związku Radzieckim rodziny już nie miałem. Ojciec zmarł przed wojną, a matka w czasie wojny, toteż po wyzwoleniu postanowiłem zatrzymać się w Polsce. Trafiłem do Cycowa na Lubelszczyźnie, bo stamtąd pochodził jeden z moich towarzyszy niedoli w Brandenburgii. Ale razem nie zagrzaliśmy tu miejsca, postanowiliśmy wyjechać — on z rodziną, a ja sam — do Połczyna Zdroju w dzisiejszym Koszalińskim. Znaleźliśmy tu ładny, nie zamieszkany dom. Trzeba było myśleć o życiu. Zająłem się krawiectwem. Dawało mi to pewne zyski, starczało na jako takie utrzymanie. Wolnego czasu miałem sporo, każdą chwilę wykorzystywałem więc na czytanie. Uczyłem się Polski i pogłębiałem znajomość języka. Pewnego dnia dowiedziałem się, że w Poznaniu organizują kurs kroju i szycia. Pojechałem, kurs skończyłem, ale w tym czasie już więcej interesowały mnie książki i gazety niż igła.

Język znałem coraz lepiej, zaproponowano mi pracę w połczyńskim uzdrowisku. Stamtąd przeniosłem się do Świdwina i tu objąłem stanowisko zastępcy inspektora oświaty do spraw kultury, a od 1960 roku do 1973 roku, a więc do czasu przejścia na rentę, piastowałem funkcję kierownika Wydziału Kultury Prez. PRN.

— A kiedy zaczął pan pisać pierwsze prace literackie w języku polskim?

— W 1956 roku. Po prostu odczułem wówczas potrzebę pisania. Krótkie utwory satyryczne chwyciły. Zaczął drukować je poznański „Kaktus". Później przyszła kolej na wiersze, a następnie prozę. Debiutowałem w „Głosie Tygodnia", dodatku literackim „Głosu Koszalińskiego". Zdziwiło mnie, że i inne pisma zaczęły mnie dostrzegać. Chyba drukowałem wszędzie. Poza „Kameną"...

— Ale i nic pan do „Kameny" nie nadsyłał...

— Bałem się waszej tradycji! Zresztą nic straconego! (Wiersze Misakowskiego wydrukowaliśmy w 18. wrześniowym n-rze „Kameny" — MAJ). A do prozy zachęcił mnie Maciąg. Koszalin urządził konkurs literacki. Dałem nań opracowanie literackie pamiętnika działacza kultury i zdobyłem pierwsze miejsce. Maciąg był przewodniczącym jury i gorąco namawiał mnie do dalszego pisania. Odniosło to pewien skutek, bo w Wydawnictwie Poznańskim, w Wydawnictwie Morskim, w „Iskrach" wydałem już cztery zbiorki poetyckie, poemat „Sydonia" i wybór opowiadań. Myślę, że będą i następne pozycje.

— Szczerze tego życzę, tym bardziej że pana książki nie zalegają półek księgarskich. „Sydonia" miała bodaj sześciotysięczny nakład. Jak na poezję, jest się czym chwalić. Pomówmy jednak teraz o panu jako administratorze kultury...

— Chyba żartobliwie używa pan tego określenia. Na stanowisku kierownika wydziału kultury starałem się być raczej twórcą niż administratorem. Wydało mi się, że wiele form działalności kulturalnej już się przeżyło, że trzeba szukać innych. Pewne moje ówczesne koncepcje dopiero po latach zostały zrealizowane w praktyce.

Początkowo całą energię poświęciłem odbudowie zamku świdwińskiego, spalonego w czasie wojny. Prace zostały zakończone w 1968 roku i wówczas w Świdwinie odbyły się centralne uroczystości inaugurujące rok kulturalny. Przedtem musiałem jeszcze trochę powalczyć, bo niektórzy chcieli zrobić z zamku centrum administracyjne powiatu. Udało mi się jednak umieścić tu dom kultury i bibliotekę...

— Wkrótce potem o Świdwinie zaczęło być głośno w kraju...

— To pan powiedział! Ale po kolei. Urządziliśmy świdwińskie noce filmowe — ogólnopolski przegląd filmów o tematyce krajoznawczo-turystycznej. Wyświetlaliśmy je na dziedzińcu zamkowym. Tę inicjatywę, zresztą za naszą zgodą, przechwycił później Koszalin, przekształcając ją nieco. Koszalińskie Spotkania Filmowe są prezentacją filmów młodzieżowych.

Pierwszy festiwal muzyki i piosenki żołnierskiej odbył się w Połczynie Zdroju, na terenie naszego powiatu. Obecnie ów festiwal rozbił się na dwa — piosenek żołnierskich w Kołobrzegu i zespołów artystycznych Wojska Polskiego w Połczynie Zdroju.

W 1969 r. zorganizowaliśmy w Świdwinie wspólnie z Osiekami międzynarodowe spotkanie teoretyków i twórców sztuki plastycznej.

Osobiście najbardziej mnie jednak cieszył i cieszy świdwiński konkurs im. Jana Śpiewaka dla młodych twórców. Napływa nań 300—350 prac. Konkurs podsumowuje się w czasie Święta Poezji. Laureat obok głównej nagrody otrzymuje nagrodę symboliczną w postaci klucza do Zamku świdwińskiego, ma tam też stałą gablotkę. Dotychczasowymi laureatami byli: Andrzej Turczyński, Adam Ziemianin, Stanisław Gola i Zygmunt Flis.

Można tu jeszcze wspomnieć o olimpiadzie kulturalnej. Co miesiąc występują zespoły dwóch zakładów pracy. Ten zakład, który zwycięży, automatycznie przechodzi do drugiego etapu rozgrywek. Zwycięzca otrzymuje nagrodę w dniu 22 lipca. Jury jest bezstronne — spoza Świdwina. Ta olimpiada trwa już pięć lat, co roku bierze w niej udział 9—12 zakładów. Obecnie rozszerzamy tę formę rywalizacji na PGR-y. Miło nam, że znajdujemy naśladowców w województwie. Cóż jeszcze?

— Czy i tak nie za wiele? Świdwin jest miastem powiatowym!

— No to co? Czy w mieście powiatowym brak inicjatyw? Otóż jeszcze jedno: raz w roku organizujemy barwne widowisko historyczne, głównie z udziałem młodzieży. W ten sposób uczciliśmy na przykład 500-lecie bitwy o krowę między Świdwinem a Białogardem. Ukradziona przez mieszkańców Białogardu krowa stała się casus belli, która pociągnęła za sobą kilkaset ofiar. Zwyciężyli świdwinianie, którym przewodził wójt Krzysztof Poleński. Jak wieść niesie, po zwycięskiej bitwie wrócił na ośle triumfalnie witany przez mieszkańców.

— Domyślam się, że pan był motorem tych wszystkich imprez. Czy po pana przejściu na rentę znów nie zapanuje w Świdwinie marazm?

— Są młodzi. Niech oni teraz pokażą, co potrafią...

* * *

Wielka Encyklopedia Powszechna PWN mówi m. in.: „Świdwin, m. pow. w woj. koszalińskim, nad Regą; 11,5 tys. mieszk. (1966); ośrodek usługowy i przem; przemysł spożywczy i drzewny, dziewiarski, i chem."

Najbardziej wymowna jest liczba mieszkańców: 11,5 tys.! A wśród nich jeden g r z e s z n i k. Ale czy tylko jeden?

oko-lice sztu-ki

Szanujmy się

NIEMAL dwa lata temu lubelskie Muzeum Okręgowe urządziło dużą, przejrzystą informacyjnie i po prostu bardzo piękną wystawę Tadeusza Pruszkowskiego. Kosztowała wiele wysiłku, obrazy sprowadzano z wielu muzeów krajowych, udano się po prośbie do osób prywatnych, w których posiadaniu znajduje się poważna część dorobku patrona „Bractwa św. Łukasza". Na otwarciu ekspozycji, zaopatrzonej w katalogi, recenzje, adresy hołdownicze kierowane niegdyś do mistr..a, pojawiło się wielu byłych uczniów Pruszkowskiego, wielu ciekawych ludzi. Było uroczyście i nieoficjalnie zarazem.

Ale nie było katalogu wystawy, który zastąpiono skromną składanką, usprawiedliwiając to potknięcie szeregiem czynników obiektywnych, doraźnymi kłopotami natury materialnej. Obiecywano przecież, że takie właśnie, niemal monograficzne wydawnictwo ukaże się lada tydzień, no, może lada miesiąc. Nie ukazało się do dzisiaj, obrazy powędrowały do właścicieli. Na następną wystawę Tadeusza Pruszkowskiego trzeba będzie poczekać — dziesięć, piętnaście lat? A człowiek, który był czołową postacią międzywojennego ruchu artystycznego, mocno związaną z Lubelszczyzną, jak nie miał, tak nie ma drukowanego świadectwa swej wszechstronnej działalności. Takie świadectwo miał okazję wystawić Lublin, lecz zaprzepaścił szansę. Nie starczyło oddechu, czy szacunku dla własnej pracy? Niepomny na znane przysłowie, ciągle przecież mam nadzieję, że prędzej czy później Muzeum Okręgowe wyda taki katalog.

Niedawno miałem okazję zapoznać się z inną sprawą wydawniczą. Zlokalizowana w Łodzi, kieruje przecież uwagę na grunt lubelski. Jak wiadomo, na początku lat trzydziestych trafiła do tamtejszego muzeum Międzynarodowa Kolekcja Sztuki Nowoczesnej, złożona z darowizn wybitnych indywidualności awangardy europejskiej. Inicjatorem tego unikalnego przedsięwzięcia był Władysław Strzemiński, któremu pomagali następnie Henryk Stażewski, Jan Brzękowski i Julian Przyboś. Jedyną gratyfikacją, jaką otrzymali autorzy darowanych płócien, był katalog kolekcji, z którego wydrukowaniem wiązały się zresztą spore kłopoty. Nie o ten szczegół techniczny tu jednak chodzi — przepraszam, że zawodzę tych „animatorów" życia artystycznego lat siedemdziesiątych, którzy poszukują precedensów historycznych dla własnej niemocy. Chodzi przede wszystkim o wykaz artystów, zamieszczony w katalogu. Widnieją w nim m. in. takie nazwiska: H. Arp, W. Baumeister, A. Calder, L. Chwistek, L. Delaunay, M. Ernst, K. Hiller, F. Leger, L. Marcoussis, A. Ozenfant, P. Picasso, K. Schwitters, M. Seuphor, W. Strzemiński, H. Stażewski, S. I. Witkiewicz.

Te nazwiska nie wymagają komentarzy biograficzno-krytycznych. Ale co to wszystko ma wspólnego z Lubelszczyzną?! Nic. Poza tym, że przy końcu tego świetnego rejestru widnieje nazwisko Stanisława Zalewskiego. Pisałem już kilkakrotnie o tej postaci więc przypomnę tylko pokrótce, że ten bardzo interesujący malarz urodził się w 1896 roku w powiecie włodawskim, studiował w Warszawie i Krakowie, uczestniczył w działaniach awangardowych ugrupowań „Polscy Formiści", „Blok" i „Praesens". Nie tracił przecież kontaktów z Lublinem, tu w roku 1937 miał wystawę, a po drugiej wojnie wykładał przez pewien czas w liceum plastycznym. Pozostawił dorobek bardzo zróżnicowany artystycznie, nie ulega przecież wątpliwości, że martwe natury Zalewskiego z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych w pełni uzasadniają obecność malarza we wspomnianej Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej. Dyscyplina kompozycyjna, świeży i dźwięczny koloryt, redukowanie przedmiotów do ich syntetycznie traktowanych znaków plastycznych — oto najogólniejsze wyznaczniki formalne twórczości Zalewskiego.

Po wojnie malował rzadko, malował zresztą inaczej, niż w latach młodości, interesując się pejzażem traktowanym na sposób kolorystyczny. Umarł w Warszawie w 1958 roku. Rok później uhonorowano jego pamięć wystawami pośmiertnymi — w Warszawie, Krakowie i Lublinie. I na tym koniec, zapomniano o Stanisławie Zalewskim. Piętnaście lat temu Ignacy Witz nawoływał co prawda historyków sztuki, aby zainteresowali się twórczością Zalewskiego, lecz apel pozostał bez echa. Podobnie jak lamenty niżej podpisanego. Nikt się jakoś nie kwapi z ponownym odkryciem — w wymiarze społecznym — malarstwa artysty, który brał udział w wystawach sztuki polskiej w Paryżu, Brukseli, Hadze, Amsterdamie, eksponował obrazy na Biennale w Wenecji w 1933 roku. Mało tego, co poważniejsze syntezy historyczne, obejmujące okres międzywojenny i traktujące m. in. o „Bloku" i „Praesensie", w ogóle nie wymieniają jego nazwiska.

Więc my może tutaj, na Lubelszczyźnie, przyznamy się p u b l i c z n i e do pobratymca?! Będzie to także dowodem szacunku dla siebie samych.

IJK

Kamena str. 12

Kraj miłośników książki

OKOŁO 4,4 mln obywateli NRD, a więc więcej niż jedna czwarta ogółu ludności, korzysta z bibliotek, wypożyczając rocznie 75 mln. tomów. Przeciętny czytelnik poświęca miesięcznie 16 godzin na lekturę książek, czasopism i gazet.

W Republice istnieje 78 wydawnictw, w tym 40 naukowo-fachowych, 22 beletrystyczne młodzieżowo-dziecięce oraz 10 artystycznych. Rozwijają one tę postępową, socjalistyczną i demokratyczną działalność edytorską, której początki sięgają czasów przed dojściem Hitlera do władzy w Niemczech.

Nawiązując do tradycji edytorskich niemieckiej klasy robotniczej po rozbiciu faszyzmu, domy wydawnicze NRD weszły na całkowicie nową drogę.

Do prekursorów nowej literatury należeli pisarze, którzy tworzyli dojrzałe dzieła w okresie walki z imperializmem niemieckim, jak Anna Seghers, Johannes R. Becher, Bertolt Brecht, Ludwik Renn, F.C. Weiskopf, Willi Bredel, Hans Marchwitza, Bodo Uhss. Pionierską rolę odgrywały jednak również książki tych, których twórczość literacka inspirowana była już przez nowy ustrój społeczny. Do tej grupy zaliczają się: Juri Brezan, Erwin Strittmatter, Franz Fuechmann, Hermann Kant, Bruno Apitz, Theo Harych, Dieter Noll, Georg Maurer, Paul Wiens, Guenter Kunert.

Obok twórczości rodzimych pisarzy współczesnych, wydawnictwa upowszechniały szeroko dzieła klasyków oraz wybitnych przedstawicieli współczesnej literatury światowej.

Co ósma książka drukowana w NRD jest przekładem z innego języka. Z kolei wśród przekładów połowę stanowią książki pisarzy radzieckich. Do najczęściej wydawanych autorów należy Michał Szołochow, którego siedem tytułów drukowanych w NRD wyszło dotychczas w nakładzie 1 500 000 egzemplarzy.

Z okazji jubileuszu

DO księgarń NRD trafiają nowe książki wydane specjalnie z okazji jubileuszu 25-lecia powstania Republiki. Wśród tych publikacji zwraca uwagę duża liczba antologii.

Początek zrobiło berlińsko-weimarskie wydawnictwo Aufbau-Verlag, które w lipcu przekazało do księgarń antologię „50 nowelistów NRD". To samo wydawnictwo wznawia „Lirykę w NRD" obejmującą ponad 60 autorów. Z twórczością współczesnych autorów zapoznaje czytelnika tom pt. „Informacja", w którym 29 pisarzy opowiada o swojej drodze do pisarstwa i warsztacie literackim.

Wydawnictwo Mitteldeutscher Verlag w Halle prezentuje z okazji 25-lecia NRD trzy powieści autorów współczesnych: „Tryptyk z siedmioma mostami" Maxa Waltera Schulza, „Nad rzeką", jako pierwszy tom wielkiej powieści „Pokój na Wschodzie" Erika Neutscha oraz pierwszy tom trylogii Bernharda Seegera „Drogi człowieka". Tuż przed jubileuszem ukaże się antologia wierszy lirycznych autorów NRD „Krajobraz naszej miłości". Zapowiedziana jest też antologia prozy „Portrety ludzi współczesnych".

Hinstorff-Verlag w Rostocku zatytułował swą wydawaną na jubileusz NRD antologię „Dni na lata". Autorzy opisują w niej pojedyncze dni lub wydarzenia z 25-letniej historii kraju, mające dla nich osobiście wielkie znaczenie. Z opowiadań relacji i wrażeń powstaje obraz przemian zachodzących wraz z rozwojem Republiki.

OKUPACYJNE KONSPIRACJE HARCERSKIE W LUBLINIE

JUŻ nazajutrz po klęsce wrześniowej w całym kraju zaczęły powstawać żywiołowo liczne organizacje podziemne do walki z okupantem niemieckim. W Lublinie w październiku 1939 r. rozpoczęła działalność Komenda Obrońców Polski (KOP) oraz Służba Zwycięstwu Polski (SZP), a także kilka innych konspiracyjnych związków wojskowych. Dzieje ich są obecnie obiektem dociekań historycznych. Obok nich istniało wiele jeszcze innych, krótkotrwałych i samorzutnie zakładanych, zwłaszcza przez młodzież, organizacji podziemnych, o których działalności brak jest bliższych relacji.

Z tym większym zadowoleniem należy więc powitać książkę poświęconą jednej z lubelskich, harcerskich organizacji konspiracyjnych. Jest nią „Pierwsza Skrzydlata" Ludwika Bronisza — Pikało. Książka zyskała sobie znaczną popularność w młodzieżowych kręgach czytelniczych, o czym świadczą listy na jej temat skierowane do redakcji „Kameny", uszła jednak, jak dotąd, uwadze krytyki literackiej, jak i historycznej. Być może dlatego, iż autor nadał swym wspomnieniom formę bezpretensjonalnej opowieści przeznaczonej dla młodzieży. Jak wynika jednak z przedmowy i posłowia, akcja książki została zbudowana na kanwie wydarzeń prawdziwych, a jej bohaterowie żyli i działali w ówczesnym Lublinie. „Pierwsza Skrzydlata" jest więc równocześnie literacko ujętym pamiętnikiem, przynoszącym szereg nieznanych dotąd historykom wiadomości, godnych odnotowania.

Tytuł książki nawiązuje do nazwy drużyny harcerskiej założonej w 1938 r. z inicjatywy majora Włodzimierza Kondratiuka, pracownika Lubelskiej Fabryki Samolotów, oficera o szerszych horyzontach. Wciągnął on w szeregi harcerskie wałęsającą się po przyfabrycznym lotnisku młodzież pochodzącą z biednych, robotniczych przedmieść lubelskich: Bronowic, Kośminka i Kalinowszczyzny. Po klęsce wrześniowej kilkunastu odważnych i przedsiębiorczych chłopców z dwóch najmłodszych zastępów, związanych więzami koleżeństwa i przyjaźni, samorzutnie postanowiło kontynuować działalność harcerską jako zastęp „Łosiów". Nazwa pochodziła od typu udanego i niezmiernie popularnego wśród młodzieży wychowanej na lotnisku bombowca polskiej konstrukcji. Kilkunastoletni zaledwie chłopcy przystąpili do konspiracji wskutek pierwszych osobistych zniewag i krzywd doznanych od okupanta. Ów impulsywny, młodzieńczy odruch miał jednak trwałą podstawę w świadomym i ugruntowanym przez organizację harcerską patriotyzmie i miłości ojczyzny. Zastępowym „Łosiów" został autor wspomnień, „Lutek", jego zastępcą był Konrad Wyrzykowski, „Adek". Chłopcy złożyli uroczystą przysięgę, zobowiązując się do walki z okupantem. Utrzymani w tonowych dla tego wieku regułach gier harcerskich, zadziwiała jednocześnie dojrzałością i trafnością wyboru form.

Harcerze z Bronowic pomagali zrazu polskim jeńcom wojennym, a następnie więźniom Majdanka i getta. Przystąpili też natychmiast do akcji sabotażowych, zrywając druty i ścinając słupy telegraficzne oraz niszcząc urządzenia sygnalizacyjne na torach i blokując pociągi wojskowe. Prowadzili także działalność propagandową, kolportując odbite na sporządzonej własnym przemysłem drukarence ulotki i odezwy. Akcjami o poważniejszym charakterze było rozbrajanie pojedynczych funkcjonariuszy policji i żołnierzy niemieckich. Zdobytą broń przekazywano organizacjom konspiracyjnym i spiskowcom w obozie przejściowym przy ul. Lipowej. W obliczu bezwzględnego terroru hitlerowskiego wszystkie te akcje groziły chłopcom, ich rodzinom i środowisku poważnymi konsekwencjami. Nie te jednak okoliczności wpłynęły na zahamowanie trzyletniej prawie działalności zastępu. Harcerzy nie zadowalały już akty małego sabotażu czy porachunki z Hitlerjugend. Parli oni do walki zbrojnej. Większość członków zastępu, gdy osiągnęła okupacyjny wiek męski, zaczynający się wówczas od lat 16, wstąpiła do partyzantki, rozpoczynając nowy rozdział swego życia.

Autor wspomnień wiernie przekazał atmosferę okupacyjnego Lublina, miasta narażonego na cierpienia i straty, lecz nie rezygnującego z walki. Plastycznie zarysowane krajobrazy przedmieść lubelskich dodają książce specyficznego kolorytu. Postacie bohaterów opowieści, chłopców i dziewcząt z Bronowic, zostały przedstawione ciekawie i prawdziwie, zróżnicowane psychicznie demonstrują swą młodzieńczą indywidualność. Nieco gorzej wypadły dialogi, niekiedy zbyt schematyczne i uwspółcześnione („baśka", „skok" itp.). Być może autor chciał przemówić do młodych czytelników językiem bardziej komunikatywnym.

W sumie autor napisał nie tylko interesującą opowieść dla młodzieży, nie pozbawioną walorów wychowawczych, lecz również przekazał sporo interesujących informacji o wydarzeniach i faktach z lubelskiej rzeczywistości okupacyjnej. Oczywiście trudno przecenić rezultaty osiągnięte przez garstkę chłopców w walce z potężną machiną okupacyjną. Wartość omawianej książki tkwi jednak w tym, iż wskazuje ona wyraźnie na udział harcerzy lubelskich wywodzących się ze środowisk robotniczych w podziemnym ruchu oporu. Tym samym stanęli oni ramię przy ramieniu obok swych bohaterskich kolegów ze Śląska i Warszawy oraz innych regionów Polski. Współczesne harcerstwo lubelskie posiada więc piękną i zasługującą na przypomnienie tradycję.

Wiesław Śladkowski

Ludwik Bronisz-Pikało, Pierwsza Skrzydlata, Opowieść o lubelskich „Łosiach" wyd. harcerskie Horyzonty, W-wa 1973, s. 282.

Sennik egipski

- 19 -

Las płonący — katastrofa
Laska — nieprzyjemne zajście
Lasso — utrata wolności
Laskowe orzechy zbierać — kłopoty
Laskowe orzechy gryźć — pokonasz przeciwności
Latać (fruwać) samemu — lekkomyślność w czynach
Latarnia płonąca — dobre stosunki z ludźmi
Latarnia połamana — zatargi natury politycznej
Latarnia morska — dostaniesz dobre wskazówki
Latarnia zgaszona — ukryci nieprzyjaciele działają
Latarnia magiczna — oszukują cię
Latarka zwykła — prostą, uczciwą drogą pójdziesz
Latawiec — niedorzeczne marzenia
Lawina śnieżna latem — utrata majątku
Lawina śnieżna zimą — otumanią cię
Legitymowanym być — spotka cię mała nieprzyjemność
Leguminę zjadać — przesyt w miłości
Lazaret — zmartwienie, choroba
Lejek — łatwo wydostaniesz się z trudności
Lekarz — dobre samopoczucie
Lekarstwo — prześladowanie
Lektyka — być w niej — bezużyteczne życie
Lektykę widzieć — będziesz na uroczystości
Len siać — nabędziesz pożytecznych wiadomości
Len kwitnący — miłość w domu, w rodzinie
Len prząść — szczęście w domu
Len — pracować koło niego — praca z korzyścią
Lenistwo — odmiana w życiu
Lep — zasadzka
Leśniczy — pewny przyjaciel
Leśniczówka — spełnione nadzieje
Letarg — zniechęcenie
Letnisko — doznasz błogiego uczucia
Lew — siłą wywalczone stanowisko
Lwa zabić — pokonanie wrogów — pokonanie trudności
Lwa bać się — ściągniesz na siebie gniew
Lew ryczący — nowiny, które przyniosą ci obawę
Lewkonia — trwała przyjaźń
Leżeć z obcym mężczyzną czy kobietą — wesoła przygoda
Leżeć z nieobecnym mężem lub żoną — niepowodzenie
Liceum — zdobędziesz jedno doświadczenie więcej
Lichtarz z płonącą świecą — dobre nowiny
Lichtarz bez świecy — zmartwienie
Lichwiarz — upadek interesu — majątku
Lichwę uprawiać — niehonorowe załatwienie sprawy
Licytacja — niesumienny zarobek
Liczyć — strata zysków
Liczby — kombinacje handlowe
Licznik — wykrycie nadużycia
Likier — zdrada w pięknych słówkach
Lilie w wazonie — życzliwy — cichy przyjaciel
Lilie zrywać — skrzywdzisz kogoś
Liliput — nienormalne życie
Lina — zdrada
Lipa — spokojne życie
Lipa kwitnąca — szczęście
Lis — fałszywy przyjaciel
Lisa zabić — utrącisz złe zamiary fałszywych ludzi
Lisa futro — zdrajca przy tobie
List pisać — wiadomości, plotki
List otrzymać — pomyślność w interesach
List czytać — zmartwienie
List pieczętować — załatwienie niemiłych spraw
List otwierać — kradzież, zguba
Listonosz — pieniądze, prezent
Liszaje — bogactwo, większy zysk
Liście zielone — dużo szczęścia
Liście żółte, opadające — utrata przyjaciół, straty
Liście zwiędłe — tęsknota, smutek
Litery czytać — korzyści z dobrych rad
Litery pisać — niepewna, niekorzystna praca
Lodownia — dobre zdrowie
Lód latem — troski, zmartwienia
Lód zimą — zabawa, wesołe towarzystwo
Lód — ślizgać się — lekkomyślność
Lody jeść — niespodzianka
Loki włosów — samolubstwo
Lokator — wystąpienie z nieuzasadnionymi pretensjami
Lokomotywa — przymusowa podróż, wiadomości z daleka
Lokomotywa w biegu — niebezpieczeństwo, wypadek
Lombard — niedomagania finansowe
Lont palący się — wstrząs psychiczny
Lornetka — zbyteczny niepokój
Lornetka w teatrze — poznasz obłudę
Los znaleźć — szczęście, wygrana
Los kupić — niepewny interes
Los zgubić — pozbycie się niepewności
Los otrzymać — skończy się na obietnicy
Loteria — hazardowa gra, pewne ryzyko
Loża — nieoczekiwane wydarzenie
Ludzi dużo widzieć — sprawy urzędowe
Lufa — niebezpieczeństwo
Lufcik — wieści od ukochanego
Lukier przyrządzać — rozczarowanie w miłości
Lukrować ciasto — będziesz się podobać komuś
Lunatyk — zbłądzisz z drogi życia
Lustro — miłość bez wzajemności, szykany
Lustro — przeglądać się — samolubstwo, które będzie razić otoczenie
Lutnia — przeżyjesz nastrojowe chwile

Ł

Łabędź — niespełnione marzenia
Łabędzie pierze — kłopoty domowe
Łachman — patrz gałgan
Łajno ludzkie widzieć — pieniądze

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1974

Literatura

● W tym roku ukażą się dwie nowe książki Władysława Machejka. „Machlanina" to historia powstania styczniowego widziana oczami stangreta, oraz „Czekam na słowo ostatnie" — czterotomowa saga polityczna o aktywistach partyjnych od lat trzydziestych do 1955.

● Stanisław Helsztyński ukończył nową powieść — „Sekretarz królowej Zofii". Jest to obraz Polski u schyłku panowania Wł. Jagiełły, widziany oczyma fikcyjnego przyjaciela Długosza. W następnej powieści chciałby się zająć epoką Kazimierza Wielkiego.

● Koszaliński Oddział ZLP liczy tylko 12 członków, ale mimo braku regionalnego wydawnictwa opublikowali oni około 70 tomików prozy i poezji, ponadto kilka almanachów.

● W Polsce przebywał I sekretarz ZG Związku Pisarzy ZSRR — Gieorgij Markow. Była także delegacja Stowarzyszenia Autorów Portugalskich.

● W związku z 25 rocznicą powstania NRD, w roku bieżącym ukaże się w języku polskim 40 książek autorów z NRD. Wśród tych pozycji Wydawnictwo Poznańskie opublikuje antologię „50 opowiadań" oraz antologię poezji „Dopowiedzenie świtu".

● Eugeniusz Jewtuszenko na łamach dziennika „Prawda" opublikował kilka wierszy, poświęconych ostatnim wydarzeniom w Portugalii.

● W Moskwie opublikowano nową książkę Borysa Polewoja — „Owe cztery lata". Są to dzienniki wojenne autora, który był korespondentem „Prawdy".

Teatr

● Dwie prapremiery na scenach polskich. Teatr Współczesny we Wrocławiu wystawił nie graną dotąd sztukę Witkacego „Janulka" córka Fizdejki" (rez. Józef Para), a Teatr Polski w Poznaniu sztukę „Ocaleni" Edwarda Bonda (przekład Stanisława Barańczaka, reżyseria Andrzeja Witkowskiego).

● Wrocławski Teatr Pantomimy otworzył nowy sezon spektaklem „Przyjeżdżam jutro" w reżyserii H. Tomaszewskiego.

● Teatr Polski z Warszawy z ogromnym powodzeniem występował na Węgrzech i w NRD. Zespół pokazał „Na szkle malowane" Brylla i Gaertner, „Chłopców" Grochowiaka i „Tragedię optymistyczną" Wiszniewskiego. Pierwszy z tych spektakli otworzył tegoroczny festiwal „Berliner Festtage".

● Około dwa i pół tysiąca zespołów uczestniczyło w Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich. Pokaz centralny odbędzie się w listopadzie w Stalowej Woli.

● Teatr Amatorski Huty „Stalowa Wola" obchodzi swoje trzydziestolecie. Jako 61 premierę przygotowuje „Kondukt" Drozdowskiego, który zostanie pokazany w plenerze.

● Ostatni numer radzieckiego miesięcznika „Teatr" zamieścił obszerny wywiad z Jerzym Sokołowskim, z-cą dyrektora departamentu w Min. Kultury i Sztuki, o tendencjach rozwoju polskiego teatru w minionym trzydziestoleciu, współczesnej dramaturgii, reżyserii i aktorstwa polskiego.

● W Belgradzie trwa doroczny międzynarodowy festiwal teatralny „BITEF-3" z udziałem zespołów teatralnych z 13 krajów, które w sumie dadzą 42 spektakle. Z Polski został zaproszony krakowski Teatr Stary z „Wyzwoleniem" Wyspiańskiego.

● Na scenach bułgarskich wystawiono w minionym sezonie 38 nowych sztuk pisarzy krajowych i zagranicznych.

Sztuka

● Z udziałem uczonych z 15 krajów odbyło się w Warszawie kilkudniowe kollokwium Międzynarodowej Rady Muzeów oraz Międzynarodowej Rady Zabytków i Zespołów Zabytkowych. Goście zwiedzili zabytki Warszawy, Wilanowa, Kielc, Krakowa, Łańcuta i Baranowa.

● Tegorocznym laureatem „Nadodrza" został Alf Kowalski, twórca i dyrektor muzeum w Międzyrzeczu plastyk i działacz kulturalny.

● 250 prac 95 młodych artystów z całego kraju wystawiono na Ogólnopolskiej Wystawie Młodego Malarstwa, Rzeźby i Grafiki w Sopocie.

● W Warszawie przy ul. Srebrnej otwarto pierwsze w stolicy muzeum dzielnicowe — na Woli. Zaczątkiem zbiorów stały się materiały z sesji popularnonaukowej i wystawy „600 lat Woli".

● Wartość zeszłorocznych obrotów dziełami sztuki w zakładach artystycznych ZPAP „Art" wyniosła 14 mln zł, natomiast wartość usług plastycznych 71 mln zł. Wartość usług w roku bieżącym ma wynieść 102 mln. zł.

● Znajdujące się w odrestaurowanym pałacu książąt słupskich muzeum posiada m. in. 110 portretów, malowanych przez Stanisława Ignacego Witkiewicza. Część zbiorów stanowi zagroda słowińska — zespół zabudowań mieszkalnych i gospodarczych we wsi Kluki.

● W Berlinie odbył się XVI Walny Zjazd Międzynarodowego Zrzeszenia Krytyków Sztuki (AICA), działającego pod patronatem UNESCO. Omawiano głównie tematy: funkcja sztuki w rozwoju współczesnych społeczeństw, sztuki plastyczne i środki masowego przekazu, sztuka i środowisko człowieka. Przyszłoroczny Zjazd połączony z odbywającym się co cztery lata Kongresem odbędzie się w Polsce.

● W paryskim Luwrze prezentowana jest wystawa średniowiecznych drzeworytów — najstarszy pochodzi z roku 1450.

Muzyka

● Chóry Politechniki Poznańskiej oraz Towarzystwa Śpiewaczego „Harfa" zajęły dwa pierwsze miejsca w konkursie chóralnym w Middlesbrough w Anglii. Następnie koncertowały w RFN i Holandii.

● Od 14 do 27 października w Warszawskiej Sali Kongresowej odbędzie się „Jazz Jamboree 74". Oprócz zespołów i solistów polskich wystąpią artyści z 14 krajów.

● W Brnie trwa IX Międzynarodowy Festiwal Muzyczny, stanowiący jeden z głównych akcentów Roku Muzyki Czeskiej, proklamowanego przez UNESCO. Z polskich artystów biorą udział St. Woytowiczówna i K. A. Kulka. Przyszłoroczny festiwal odbędzie się pod hasłem „Muzyka pokoju".

● Angielska Opera Narodowa rozpoczęła sezon wystawieniem zyskującej na popularności opery Verdiego — „Don Carlos". Wystawiono ją według oryginalnej partytury, a więc z fragmentami, dotychczas nie granymi od czasów prapremiery paryskiej w 1867 r.

Film i TV

● Do nadawania programów kolorowych nasza telewizja posiada trzy studia, trzy wozy transmisyjne i 23 kamery. Dodajmy, że sama tylko adaptacja jednego studia na potrzeby telewizji kolorowej kosztuje około 4 miliony zł.

● Na 25-lecie NRD wytwórnia „Defa" przygotowała dwa filmy dokumentalne o roli klasy robotniczej w budowie państwa socjalistycznego. Filmy „Defy" wyświetlano w ponad stu krajach. Na różnych festiwalach zdobyły one 165 nagród.

● Nad brzegami Donu Sergiusz Bondarczuk realizuje film według powieści Michała Szołochowa „Oni walczyli za ojczyznę".

● „Co jest najbardziej charakterystyczne dla współczesnego filmu gruzińskiego? Chyba harmonijne współistnienie realizmu, poezji, dokumentu i romantyzmu" — powiedział w wywiadzie wybitny reżyser gruziński Rezo Czcheidze.

● Bułgaria produkuje co roku przeszło 40 filmów fabularnych oraz około 500 krótkometrażówek dla kin i telewizji. Filmy bułgarskie trafiają na ekrany prawie 80 państw.

● Monica Vitti i Mastroianni znów spotkali się przed kamerą, grając w filmie „Przyjaciółka gangstera".

● Mało kto wie, że cały serial „Bonanza" obejmuje 453 filmy, które powstawały w ciągu 15 lat — ostatnie dopiero w roku ub. Wyświetlano je dotychczas w 84 krajach. Tytułem samych tylko tantiem od dochodów każdy z głównych aktorów zainkasował w roku ub. po 2,6 mln dolarów.

● Gloria Swanson, jedna z najpopularniejszych gwiazd filmu niemego, obchodziła 60-lecie pracy artystycznej. No i wraca na ekran, grając jedną z głównych ról w obrazie „Aeroport 1975".

Różne

● Centralna inauguracja roku kulturalnego 1974—1975 odbyła się w Białymstoku z udziałem wicepremiera i ministra Kultury i Sztuki Józefa Tejchmy oraz sekretarza KC PZPR Wincentego Kraski i gospodarzy województwa.

● W Warszawie odbyło się międzynarodowe kollokwium na temat kształcenia kadr w dziedzinie planowania i administracji kultury, zorganizowane przez UNESCO.

Lubliniana

● Na zaproszenie chóru Echo występował w Lublinie, Chełmie i Nałęczowie chór męski z Beek w Holandii, mający w swoim programie także kilka utworów polskich. W Lublinie koncertował na inauguracji sezonu w Filharmonii.

● W porozumieniu z Muzeum Lubelskim Klub MPiK uruchamia stałą wystawę malarstwa i rzeźby współczesnych artystów polskich.

● Od 9 do 15 listopada trwać będą w Lublinie Dni Debreczyna, połączone z różnymi imprezami kulturalnymi.

● Zespół Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej wystąpił z kilkunastu koncertami na Sycylii.

● „Kurier Lubelski" oraz brzeski dziennik „Zaria" organizują konkurs rysunkowy dla uczniów klas VII i VIII szkół podstawowych Lublina na tematy związane z przyjaźnią polsko-radziecką. Prace należy nadsyłać do Wydziału Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego w Lublinie, ul. Sądowa 6, do 10 października.

● W Toruniu odbył się XI Powszechny Zjazd Historyków Polskich z udziałem ponad tysiąca uczestników. Jednym z honorowych członków Polskiego Towarzystwa Historycznego został prof. dr Mieczysław Żywczyński z KUL-u.

DEBIUT PERMANENTNY

FAKT, że dopuszczenie młodych pisarzy do bardziej znaczących, posiadających większy nakład periodyków, do wydawnictw posiadających jaką taką markę, napotyka zwyczajowo spore trudności, nie wymaga przesadnej dokumentacji. Jest on reliktem okresu, kiedy można było mówić o rządzie dusz, a wiadomo, iż w każdym rządzie istnieje ograniczona ilość foteli. Relikt to poniekąd przedziwny, jeśli wziąć pod uwagę częste deklaracje pisarzy uznanych, głoszących niechęć do posiadania rządu dusz z jednoczesnym tęsknym wspominaniem funkcji pisarza dworskiego (Bryll, Grochowiak...).

Jednocześnie (zda się: dożywotnio) wydawnictwa posiadają stałych recenzentów, którzy w wypowiedziach programowych odżegnują się od poetyki i wartościowania normatywnego, w praktyce natomiast uwielbiają przyrównywać debiutanta do pisarzy zaakceptowanych, obmacywać struktury poprzez jakie się wypowiada i szczególny smak odnajdywać w stwierdzeniu do jakiej szkoły można delikwenta odesłać. Pozostaje jeszcze sprawa sympatii bądź antypatii do mistrza i czeladnik otrzymuje należną cenzurkę.

W periodykach preferowane są zazwyczaj osiągnięcia formalne, co w gruncie rzeczy jest dla czytelnika raczej drugorzędne. Redaktorzy przestrzegają granic tematycznych, uwarunkowanych w najlepszym wypadku ich gustem czy też brakiem takiego.

Debiutant, który próbuje sił w uprawianiu poezji, napotyka od lat na przeszkody rozliczne. Już to poziom poezji (w porównaniu z prozą) jest wyższy, już większa liczba osób staje w poetyckie szranki, co — inna sprawa — jest odwrotnie proporcjonalne do zainteresowania publiczności czytającej. Gdyby to jednak był powód jedyny i gdyby nie istniały pozaartystyczne koniunktury, sytuacja wyglądałaby dla młodych znacznie korzystniej. Potrzebny by był tylko jeszcze jeden konieczny warunek — powiedzmy za Adamem Zagajewskim — paradygmat kultury, podstawa, wobec której można by było kwalifikować bądź dyskwalifikować powstające utwory. Ułatwienie zarówno dla piszących jak i dla czytających.

Nowa koncepcja literatury i — szerzej, z pełną odpowiedzialnością za to słowo — kultury kształtowała się w nadzwyczajnych bojach publicystycznych od końca lat sześćdziesiątych. W przeciągu sześciu lat ukazały się liczne już tomy poetyckie reprezentantów „nowego ruchu" (trzeba zaznaczyć, iż przede wszystkim poezja obfitowała w znaczące postawy i realizacje). Mimo to ciągle jeszcze spora grupa osób wyczekuje na publiczną prezentację, na zetknięcie się z liczniejszym odbiorcą, pomimo że ich nazwiska znaczą w środowisku piszących niejednokrotnie więcej, niż autorów mianowanych przed laty pisarzami.

Aby zaprzestać obracania się w kręgu mimo że istotnych, ale jednak ogólników, zwróćmy uwagę na sposoby, którymi młoda literatura posługuje się, aby przełamać powłokę rutyny i uzewnętrznić swoje bolączki oraz osiągnięcia. Ze względu na łatwość dotarcia wymienimy jedynie inicjatywę, która datuje się sprzed roku, mianowicie „Arkusze poetyckie" „Nowego Wyrazu" (arkusz nr 1, „Poświęcenie uczciwości" Stanisława Gostkowskego ukazał się w ramach numeru 8 z 1973 roku). Prezentowane tam zestawy wierszy mają kosmiczną niemal liczbę 5500 egzemplarzy, szkoda jedynie, że nie każdy numer pisma przynosi to jakże wartościowe uzupełnienie obrazu najnowszej poezji polskiej.

Wcześniejszą inicjatywą wydawniczą (ukazuje się obecnie jej czwarta seria) są „Generacje". Równolegle z prezentacją poetów starszych roczników przyniosły one liczne tomiki debiutanckie, wśród których na szczególną uwagę zasługuje ostatni, „Adres zwrotny" Wita Jaworskiego, który to jako ostatni z członków grupy „Teraz" doczekał się publicznej prezentacji. Obie inicjatywy mają zasięg ponadregionalny, ukazują to, co dla najmłodszej poezji jest najbardziej znaczące. Szczególnie „Generacje" właśnie dopracowały się modelu, w którym w sposób naturalny mieszczą się sprzeczne niejednokrotnie koncepcje poezji. Trzeba wspomnieć, że w obu przypadkach łatwo stwierdzić, kto jest promotorem debiutanta: zrywa to z anonimowością i brakiem odpowiedzialności wydawnictw „oficjalnych", w których przecież recenzenci nie odsłaniają swoich nazwisk.

Wymienione inicjatywy mają już pewien dorobek i w dalszym ciągu udoskonalają przejawy swojej działalności. Pominiemy liczne publikacje jednorazowe, które w sumie — prezentują bardzo nierówny poziom i grzeszą zwykle tym, iż głównym powodem druku było zamieszkanie autora na tym samym terenie, na którym działał mecenas. Z zasady nie ma w takim przypadku mowy o wprowadzeniu dokonanym przez osoby kompetentne.

Pozostaje skupić uwagę na inicjatywie najmłodszej, wrocławskim arkuszu poetyckim, który „w nakładzie 400 egzemplarzy wydał Klub Młodzieży Pracującej ZMS Piwnica Świdnicka we Wrocławiu". Tytuł: „Razem", podtytuł „Arkusz nr 1", autorzy: Stanisław Gostkowski, Marek Garbala, Bogusław Kierc. Po fragmencie „Ody do młodości" Adama Mickiewicza („Razem...") następuje dwugłos Garbali i Kierca na temat poezji Gostkowskiego, następnie jedenaście utworów tego ostatniego. Ponieważ druk ma postać arkusza, podzielony jest na tej zasadzie, iż pierwsza strona to metryczka, karta tytułowa, cytat oraz dodatkowa informacja, że w przygotowaniu jest arkusz następny, Czesława Sobkowiaka, Jacka Łukasiewicza i Janusza Stycznia. Na drugiej stronie są utwory poetyckie Gostkowskiego. Arkusz wrocławski od pomysłu do realizacji czekał dosyć długo (fundusze, mecenat, aprobata), dlatego więc na samym początku, mimo iż przygotowany wcześniej niż arkusze „Nowego Wyrazu", dubluje poniekąd we wstępnej fazie dokonania tego pisma. Na przykładzie Gostkowskiego widać dobitnie, że wychodzi to jedynie na dobre wszechstronnemu zaprezentowaniu dorobku autora.

Stanisław Gostkowski urodził się w Kościerzynie 1 sierpnia 1948 roku, po ukończeniu Wydziału Filologii Polskiej na Uniwersytecie Gdańskim powrócił do tego miasta i tam pracuje. (Informacje te podaję, aby uwierzytelnić ponadregionalne ambicje omawianej serii). Debiutował w roku 1971 w miesięczniku „Odra" (tu podkreślenie: pod ręką Tymoteusza Karpowicza, który obok tworzenia genialnej poezji miał „lekką rękę" do promowania debiutantów; przykład: Rafał Wojaczek). Ma obecnie Gostowski arkusz w „Nowym Wyrazie", większe bloki wierszy w „Odrze" (marzec 1972) oraz „Nowym Wyrazie" (grudzień 1972). Drukował również w „Literach" i „Kamenie", czyli tam, gdzie nie było zbyt głębokich okopów broniących starych poetyk (częstokroć w takim przypadku warto zwrócić uwagę, gdzie poeta nie drukował).

Jeśli czyta się wiersz Gostkowskiego, to przede wszystkim rzuca się w oczy to, że w jakimś stopniu pokrewny jest on poetyce Tymoteusza Karpowicza, którego „wpływy" organizują intelektualnie rozedrganą magmę umiejscowioną równie dobrze w naszej teraźniejszości, co w tradycji literackiej, sięgającej (głównie w aspekcie „wściekłości", o której pisał Kierc) do poetów metafizycznych. Daje się tutaj odnaleźć swoisty „hiperrealizm" obok baśniowości niczym Leśmiana; ogień obok oliwy, która jest w stanie przytłumić rozszalałe żywioły.

W poezji, której semantyczne zakresy słów nie pozwolą odnieść w żadnym wypadku do sielskości arkadyjczyków, narzuca się zarazem natrętnie, że świetnie reprezentuje ją tytuł arkusza zamieszczonego w „Nowym Wyrazie" — „Poświęcenie uczciwości". Przypomina się w tym momencie „Rozkład jazdy" Tymoteusza Karpowicza. Tak jak u wielkiego poety można go było jednocześnie interpretować jako katalog przyjazdów i odjazdów oraz jako biologiczny rozkład formacji wojskowej jednocześnie, tak „Poświęcenie uczciwości" można odczytać jako swoistą rezygnację a zarazem sakralizację uczciwości. Oba znaczenia będą tu prawdziwe jedynie łącznie. Trudno nie zauważyć: jedynie druga interpretacja będzie wypływała organicznie z poezji Gostkowskiego, z jego chęci i zainteresowań; pierwsza to wyraz ograniczeń oplątujących człowieka.

Niepoślednie miejsce w poezji Gostkowskiego zajmują sprawy dotyczące etyki, ze wszystkimi jej następstwami. Na tym tle dopiero można oglądać liczne jego utwory patriotyczne: „lekcje języka polskiego", „ziemia kościerska wydała twórcę hymnu narodowego", „twarz żołnierza skierowana w stronę ojczyzny", „Ulryk von Jungingen"... Treść patriotyczna jest zawsze kontrolowana przez dobór słów stosowanych w wierszu, w trosce by treść daleka była od fałszu i przejaskrawień. Pozorne treści obnażane są przez nagromadzenie form imiesłowowych czynnych, na co słusznie zwrócił uwagę Marek Garbala. (Nie jest to, oczywiście jedyna funkcja form imiesłowowych używanych przez Gostkowskiego, prowokują one jednocześnie do szczerego aktywizmu, tej cechy właściwej poecie).

Formuła arkuszy poetyckich posiada już obecnie wystarczająco wiele plusów, aby nie trzeba było mnożyć przykładów świadczących na jej korzyść. Nawet jeżeli ulegnie poprawie polityka wydawców to zawsze pozostanie margines, na którym arkusz może wyeliminować możliwość pominięcia tego, co aktualnie interesujące, własne, prawdziwe i wartościowe. Inicjatywa wrocławska wymaga kontynuacji (może w bardziej doskonałej formie poligraficznej?). To jednak zależeć będzie już od mecenasa, którego — nie wątpię w to — znajdzie, obecnie bowiem ukazuje się głównie dzięki uporowi garstki zapaleńców.

Stanisław Jan Królik

Kamena str. 14

Odpowiedzi redakcji

W.S. Pszczela Wola. W pańskim wypadku czynność pisania należałoby poprzedzić czytaniem. W ten sposób zyska Pan konieczną orientację. Opanować język, zetknąć się z dzisiejszym sposobem użytkowania słowa, nabyć kulturę literacką. Inaczej cała dyskusja znajduje się w próżni. Zawsze będzie się Pan upierał, że właśnie „wdycham wiosenny zapach łąkowej niwy" jest oryginalne (bo dokładnie tych słów nigdzie Pan nie spotkał), jest głębokim osobistym wyznaniem (bo „zdradza się" Pan z intymnego przeżycia), jest wnikliwym spojrzeniem na rzeczywistość (bo zawiera głęboką „filozofię przyrody"). W ten sposób doradca staje się bezradny.

A.T. Rakołupy. Jakiś zalążek poetycki nadesłane teksty zawierają. Szczególnie można wysunąć tę supozycję przez to, że autor zdaje się nie mieć kontaktu ze współczesną problematyką literacką, jest „Natursänger". Ale to równocześnie niebezpieczeństwo! Dziś nie można być poetą bez wiedzy o tym, co się we współczesnej poezji dzieje — nawet wtedy, kiedy się samemu nie aprobuje stosowanych poetyk. W tym miejscu odpowiedź zbiega się z umieszczoną wyżej, szczególnie w zakresie postulatu — czytać.

P.R. Lublin. Pisze Pan, że bardziej Panu zależy na umieszczeniu „Potrzeby", aniżeli „Równania", bo pierwsza zawiera więcej akcentów osobistych. Ani jeden ani drugi wiersz na druk jeszcze nie zasługuje, poza tym wcale nie widać pańskiego bliższego związku uczuciowego z pierwszym. Nie widać w tekście. Osobiście może go Pan darzyć większą miłością ojcowską, ale czytelnik nie ma możności się o tym przekonać. Oba teksty są jednakowe pod względem mechanicznego kopiowania pewnych wzorów poetyckich, czy — jak się to mówi — „chwytów". Zimne to, bez wyrazu, co najwyżej poprawne. Ale w przyszłości chcielibyśmy coś nowego otrzymać.

W.B. Włodawa. Opowiadanie nie może być tylko przytoczeniem faktów — obojętnie zmyślonych czy rzeczywistych. Musi posiadać ten nie dający się pominąć pierwiastek refleksji, krytycznego stosunku do zjawisk, filozofii autora. Autor musi „się odkryć" ze swoją osobowością. Tylko tak będzie miał czytelnika. Oczywiście to „odkrycie się" może być w różny sposób przeprowadzone, wcale nie za pośrednictwem metody „kawę na ławę", ale nawiązanie dialogu nastąpi dopiero wtedy, kiedy coś do przemyślenia czytelnikowi się oferuje. Nawet — jeśli to jest pozorna oschłość, jak w okupacyjnych opowiadaniach Borowskiego i Nałkowskiej. Kalendarium wypadków to jeszcze nie utwór literacki.

C.J. Janów Lubelski. Sam temat jeszcze nie określa jakości utworu. W dodatku nie napisanego. Pyta Pan, czy „na ten temat" chcielibyśmy otrzymać wiersz, bo „już" Pan posiada w dorobku coś koło dziesięciu. Na dobry wiersz zawsze reflektujemy, natomiast nie możemy się wiązać żadnymi zobowiązaniami bez znajomości tekstu.

C.Z. Tomaszów Lubelski. Mimo wszystko nie mogę się dopatrzyć wartości literackich w Pana krótkich opowiadaniach. Nie zawierają żadnej pointy, żadnego błysku spostrzeżenia, które by usprawiedliwiało podjęcie zamiaru pisarskiego. Błędów nie znajduję, ale ta nijaka poprawność kilkunastu rzuconych zdań jeszcze nie nastręcza potrzeby, by mówić o tym jako o utworach.

B.B. Sandomierz. Nadsyłane wiersze — owszem, wyczuwa się — są owiane tchnieniem osobistych przeżyć i to, co się nazywa prawdą doznania, na pewno się w nich znajduje ale z kolei nie pozbawione są pewnej sztambuchowej naiwności, która w sztambuchu jest na miejscu, natomiast nie jest wskazana na szpalcie pisma. Radzić? Nie bardzo mogę i nawet nie bardzo jest powód. Bo skąd pewność, że po przyjęciu propozycji „unowocześnienia" stylu nie popadnie Pan w naśladownictwo, w dodatku naśladownictwo „zalecone" przez redakcję? Tak samo nie mogę doradzać pozostania przy dotychczasowej praktyce, bo pomyśli Pan, że zalecamy anachronizm. Zadecyduje Pan sam. Zresztą we wszystkich sprawach twórczych decyduje autor.

A.S. Lublin. Mimo wszystko chcielibyśmy więcej jasności. Tych parę tekstów, jakie posiadamy, jest przeciążonych stylistyką metaforyczną, nadmiernie skrótową, w wielu miejscach wprost nieczytelną. Kondensacja słowa nie polega na mechanicznej jego kompresji. Z gadatliwością — ma Pan rację — precz, ale kiedy przez przesadne napięcie środków formalnych pęka nić porozumienia z czytającym, kiedy w ogóle wątpliwą się staje kwestia komunikatywności utworu, należy ze stosowanej praktyki się wycofać. Piszemy zawsze dla kogoś i zawsze zasadniczym kryterium jest czytelnik. Owszem, może Pan odpowiedzieć: „Jestem postą jutra". Ale co na to Stanisław Jerzy Lec? „Pomówimy o tym pojutrze".

A.G. Lublin. Nie chciałbym, by tych kilka słów zostało przyjętych jako dyskwalifikacja. Czuje się w tym, co Pani napisała, coś w rodzaju „serdecznego pamiętnika", obecność autorki za każdym napisanym słowem. Ale można to wszystko napisać „jednym ciurkiem", jak prozę i wtedy — niestety — wyjdzie na jaw zarówno nieodkrywczość pewnych sformułowań („Bez ratunku"), jak i niefrasobliwość innych („dopiero"). Ale zdaję sobie sprawę: adresem tych uwag może być wiele utworów poza tymi, które nam Pani nadesłała. Jednakże zwrot „miękkość, jaka nie dała żadnej cmentarze" jest — to chyba Pani przyzna — raczej niefortunny.

Szyfrogram literacki (nr 20)

	1	2	3	4	5	6	7		8	9	10		11	12
13	14	15	16	17		18	19	20	21	22	23		24	25
26	27	28	29		30	31	32	33	34	35			36	37
	38	39	40	41	42	43		44		45	46	47	48	49
50	51		52	53	54	55		56	57	58	59	60		61
62	63	64	65	66	67			68	69	70	71	72		73
74	75	76	77	78	79		80	81	82	83		84	85	86
87			88		89	90	91		92	93	94		95	96
97		98	99	100		101	102	103	104	105	106	107		
108		109	110	111	112	113		114	115	116	117	118	119	
120	121		122	123	124		125	126	127	128	129			130
131	132	133	134	135	136		137	138	139	140	141	142		

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać fragment wiersza poety polskiego z lat międzywojennych. Imię i nazwisko tego poety dadzą początkowe litery pierwszych 15 wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa podwójne — koniec wiersza.

Wyrazy pomocnicze

11, 17, 36, 141,5, 133, 35, 1, 37 — przepływa przez Lublin,
30, 125, 39, 10, 21, 6 — koło na boczce,
52, 33, 23, 22, 55, 119, 19, 62 — poprzednik arytmometru,
23, 47, 124, 42, 16, 48, 128 — słynne muzeum sztuki w Leningradzie,
8, 27, 67, 91, 51, 61, 98, 38, 109, 74 — drwina, urągowisko,
12, 79, 54, 44, 83 — zimowy sprzęt sportowy,
20, 29, 87, 97, 4, 66 — kąt między północą a danym kierunkiem,
41, 122, 57, 107, 78, 59 — odwiedziny,
80, 46, 31, 103, 63, 129, 14 — ludowy napój na miłość,
25, 73, 140, 36, 77, 53 — greckie bóstwa — mścicielki przelanej krwi,
89, 49, 15, 7, 34, 43, 128 — ludowa rzeźba o treści religijnej,
3, 118, 82 — małżonek,
9, 56, 81, 71, 81, 96, 114, 45 — kierunek przeciwstawny materializmowi,
40, 101, 112, 85, 105, 91, 134 — ważna droga,
72, 13, 24, 69, 60, 65, 117 — łotr, niegodziwiec,
86, 100, 58, 113, 102 — zwierzęta Puszczy Białowieskiej,
2, 110, 93, 64 — biblijny nieszczęśnik znoszący wszystkie klęski,
92, 139, 106, 142, 132, 75, 136, 68 — narzędzie,
70, 121, 32, 127, 99 — lada w barze,
95, 126, 137, 76, 104 — poemat Galczyńskiego,
130, 88, 115, 135, 108 — siatka do haftu,
18, 131, 120 — postać ze „Snu nocy letniej",
90, 50, 122, 116, 111 — śródziemnomorska sosna.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z hasłem z nr. 18

Poziomo: Przyboś, Jaworski, Tetmajer, oda, Kutno, Akra, kra, rodzina, nasz, skarpa, essai, trawa, Tahiti, mata, wialnie, Oka, Faun, Morse, Żyd, strzelec, Kornacki, Jastrun.

Pionowo: Putrament, Ważyk, zator, Skamander, boa, paramnezja, jak, ais, Pasternak, Orka, Omsk, Australia, Nos, akr, Zis, Słonimski, Adler, Itaka, Nocznicki.

Hasło: Witamy pisarzy polskich w Lublinie.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 18 — 4 bony książkowe, po 40 zł każdy, wylosowali: Zofia Marcykiewicz — Wierzbica, k/Radomia, ul. Kościuszki 1/2, Józef Sakowicz, Zamość, ul. Hanki Sawickiej 46; Danuta Cholewińska Lublin, ul. Leszczyńskiego 11, „Polfa"; Maria Lamparska, Wrocław, ul. Klaczki 33 m 1.

listy do kameny

WIOSKI SOS

Uprzejmie informujemy, że Koło nasze na swym walnym zebraniu w dniu 9 czerwca 1974 r. powołało Komitet Honorowy Popierania Budowy Wiosek Dziecięcych SOS. Komitet ten pełnić będzie rolę propagatora idei wiosek dziecięcych „SOS", podpisując apele do społeczeństwa i instytucji na rzecz zbierania funduszy społecznych na ich budowę. Informujemy, że do chwili obecnej formalnie wyraziły zgodę na udział w Komitecie następujące osoby: Marian Brandys, Joanna Horodecka, Maria Kuncewiczowa, dr Teresa Kukułowicz, doc. dr Otton Lipkowski, Stanisław Roztworowski — poseł na Sejm PRL, Wanda Szuman, doc. dr Zofia Sękowska, prof. Stefan Stuligrosz, prof. dr Jan Szczepański, Anna Tatarkiewicz, Wanda Wiłkomirska.

Jak wiadomo, decyzją Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie pierwsza w kraju wioska dziecięca „SOS" zostanie zbudowana w Biłgoraju z funduszy Kuratorium.

Zarząd Koła Przyjaciół Dzieci im. Kazimierza Jeżewskiego
Lublin 14 skr. poczt. 19

ROCZNICA Z. KLUKOWSKIEGO

Za waszym pośrednictwem chciałabym przypomnieć zainteresowanym — a jest ich zapewne sporo — że 23 listopada bieżącego roku minie 15 lat od śmierci Zygmunta Klukowskiego, autora pomnikowego „Dziennika z lat okupacji Zamojszczyzny 1939—1944". Ten dzielny człowiek napisał ponadto niemal trzydzieści prac historycznych, założył naukową „Tekę Zamojską", muzeum regionalne w Zamościu, przyłożył rękę do organizacji Koła Miłośników Książki w tymże mieście. Urodzony w Odessie w 1885 roku, na Lubelszczyźnie przebywał od zaraniа II Rzeczypospolitej, nie opuszczając jej aż do śmierci. Posiadał szereg odznaczeń, m. in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W 1957 roku otrzymał nagrodę wojewódzką. Jego „Dziennik z lat okupacji..." tchnie wyjątkowym autentyzmem.

Krystyna Łabędzka
Toruń

JEST KSIĘGARNIA!

Mieszkańcy nowych osiedli na Kalinowszczyźnie przez wiele lat byli zmuszeni korzystać z dobrodziejstw niewielkiej księgarni, mieszczącej się w drewnianym pawilonie, bardzo obskurnym i mało pojemnym. Placówka ta była nawet nie najgorzej zaopatrzona w nowości wydawnicze, lecz jej kubatura oraz lokalizacja nie zachęcały do odwiedzin. Z tym większą satysfakcją przyjęto otwarcie nowej księgarni, w pasażu handlowym wzdłuż ul. Bieruta. Przy okazji nasuwa się przecież pytanie, dlaczego w tym właśnie rejonie miasta wszelkie inwestycje kulturalne są albo spóźnione, albo lilipucie. Odnosi się wrażenie, że Lublin został podzielony na dwie strefy kulturalne: lepszą, która zaczyna się od śródmieścia a kończy w dzielnicach zachodnich, oraz gorszą, równoznaczną z Kalinowszczyzną.

Antoni Kłos
Lublin

SMOG W IWONICZU?

Z ogromnym zdziwieniem przyjąłem informację zawartą w artykule M. A. Jaworskiego z 19 numeru „Kameny", jakoby Iwonicz Zdrój nakłaniano na przestawienie się na ogrzewanie węglowe. Przecież to absurd, ktoś nie przemyślał konsekwencji takiej decyzji, grożącej całkowitym zanieczyszczeniem atmosfery uzdrowiska, która jest jednym z atutów leczniczych tej miejscowości. Zakopane staje na głowie, aby zlikwidować urządzenia ogrzewcze i palenisko na węgiel, zbliżone działania podejmuje Ciechocinek, a tu tymczasem Iwoniczowi zaproponowano całkiem odwrotne i szkodliwe rozwiązanie.

Ian Gawron
Rzeszów

„LUBLIN - JASSY"

W 18 numerze „Kameny" ukazał się artykuł J. Dostatniego „Lublin — Jassy", który wzbudził moje zainteresowanie tym rumuńskim miastem. Pragnąc pogłębić swoją nikłą znajomość tego ciekawego ośrodka kulturalnego, pełnego jak to wynika ze wspomnianego artykułu, bardzo wartościowych zabytków, zacząłem szukać w księgarniach lubelskich jakiejś albumowej publikacji na temat Jass. Niestety, nie znalazłem, może zresztą zabrakło mi cierpliwości w poszukiwaniach. Jestem jednak pewien, że nie istnieje żadne wydawnictwo w języku polskim o Jassach. Czy zatem zaprzyjaźniony z rumuńskim miastem Lublin nie mógłby porozumieć się z przyjaciółmi z południa w celu opracowania takiego albumu — właśnie w języku polskim? Przedsięwzięcie takie uzasadniałaby coraz żywsza współpraca obu ośrodków.

Zygmunt Topolski
Lublin

Rys. A. Stok

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny) Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Ireneusz J. Kamiński i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch". Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka Zam. 2254. 20 IX 74. E-4.

Numer łamał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 35 Nr indeksu 38-400

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

M DLA KSIĄŻKI

SPOŚRÓD dóbr kultury książka jest najbardziej niepozorna. Nie dźwięczy, nie przemawia obrazem, stoi na półce księgarskiej pełna dyskrecji i cierpliwości w oczekiwaniu na czytelnika. Nie narzuca mu się. Liczy na jego zainteresowanie poza reklamą, sensacją, doraźną aktualnością.

Może dlatego biblioteka jako instytucja upowszechniania kultury — pomijając wszelkie rewerencje oficjalne — w praktyce ma zaniżony status społeczny. Nie wygrywa w konkurencji z teatrem, filharmonią, estradą. Warto więc od czasu do czasu przepatrzeć ten układ warunków, by bibliotekom nie działa się niezawiniona krzywda, by choć życzliwym słowem dać świadectwo ich roli, choćby satysfakcję moralną.

Właśnie teraz, kiedy z powstaniem gmin dzieją się nowe sprawy w zakresie organizacji upowszechniania kultury w województwie. Więc powiadamy od razu, że to, czego nam dla bibliotek najbardziej potrzeba, to budownictwo. Rzeszów ze swoimi siedmiorgiem bibliotekami powiatowymi znajdującymi się w budynkach specjalnie w tym celu postawionych może być przykładem godnym zazdrości. Na Lubelszczyźnie tylko dwie powiatowe biblioteki — w Puławach i Krasnymstawie — posiadają warunki lokalowe zasługujące na aprobatę. Z tym, że w Krasnymstawie tylko do pewnego stopnia, ponieważ biblioteka ta znajduje się na piętrze budynku, którego parter zajmuje pawilon handlowy i pralnia. No, buduje się w Opolu. Natomiast np. w Tomaszowie biblioteka mieści się w opuszczonym domu prywatnym, w Białej Podlaskiej w zaadaptowanym mieszkaniu, w Janowie — w dwu małych pokoikach Domu Kultury i jeszcze w pomieszczeniu przejętym po PKS-ie. W tym ostatnim nawet inspektor pracy ze względu na nieodpowiednie warunki lokal zamykał. Tak więc upowszechnianie książki w tym mieście ociera się trochę o działalność nielegalną.

Oczywiście, budownictwo nie jest rozwiązaniem możliwym do spodziewania już, jutro, pojutrze, dlatego nie żywimy optymistycznych złudzeń na natychmiastową poprawę. Tych kilka słów to raczej sygnał problemu. Natomiast już dziś warto by postawić i przedyskutować pewne zagadnienie, którego realność nasuwa się z biegiem życia.

Owszem, istnieje koncepcja, aby w przyszłym gminnym ośrodku kultury objąć wspólnymi murami wszystkie placówki służące upowszechnianiu kultury na danym terenie, ale wygląda na to, że biblioteki z tej koncentracji powinny być wyłączone. W praktyce nie sprawdza się zasada owego lunctim, ponieważ zazwyczaj bywa tak, że dom kultury rozrastając się spycha bibliotekę na plan coraz dalszy, coraz bardziej uszczuplając jej przestrzeń życiową. A przecież biblioteka dziś, a tym bardziej w przyszłości, to nie tylko zbiór książek, ale również płyt, nagrań, filmów, przeźroczy itp., a przede wszystkim — placówka o wielofunkcyjnym działaniu wykraczającym poza czynność dostarczenia tomu z półki do rąk czytelnika.

Czym Lubelszczyzna wychodzi na czoło, to profilem czytelniczym. Ilością wypożyczeń z zakresu literatury popularno-naukowej. Ten trend warto wspierać, gdyż w ten sposób przede wszystkim biblioteka uczestniczy w społecznym wychowywaniu współczesnym. Fundusze na zakup księgozbioru wynoszą u nas 3,72 zł rocznie na głowę statystycznego mieszkańca. Nie jest to za dużo, dlatego wojewoda lubelski do tej sumy dorzuca coś z wojewódzkich funduszów. Gmina Piaski ze swej strony dorzuca kwotę 25 tys. złotych. Niechby wszystkie powiaty przyjęły praktykę dofinansowywania bibliotek sumą choćby 10 tys. złotych, a sytuacja uległaby znacznemu złagodzeniu. W obecnych bowiem warunkach nie ma nawet możliwości zrealizowania zalecenia Ministra Kultury i Sztuki mówiącego o tym, że w każdej bibliotece powinny znajdować się 4 dzienniki oraz 17 czasopism (szczegółowy wykaz tytułów jest w zaleceniu zawarty).

Potrzeba powoli przesuwać ciężar akcji bibliotekarskiej z ramion społecznej inicjatywy. Punkty biblioteczne są prowadzone z miłośnictwa bibliotekarzy, w ramach działalności amatorskiej. Cieszymy się, że mamy tylu ofiarnych sojuszników książki, ale jest to również świadectwo potrzeby dalszych ujednoliceń organizacyjnych. Wykorzystajmy posiadany potencjał ludzki. Dodajmy mu odpowiednie wyposażenie materialne.

Oczywiście zabrzmiałoby to zbyt imperatywnie. Rzeczywistości nie zmieni się w ten sposób. Dlatego o błyskawicznych skutkach nikt nie myśli. Trzeba jednak nieustannie utrzymywać tę sprawę na wokandzie uwagi społecznej, gdyż tylko tak zapewnia się jej drogę do pozytywnych rozwiązań. Drzwi nie koniecznie muszą być otwarte na skutek pukania. Ale bez pukania na pewno nie staną otworem. A im więcej sojuszników w tym dziele uzyska, w tym lepszym położeniu się znajdzie zabiegająca o te rozwiązania Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

Z. M.

Rys. W. Fuglewicz

minuta myślenia

SENS FESTIWALU

W ROZMOWACH ze znajomymi tyle nawyrzekałem na festiwal sopocki, że mi ten temat zupełnie zobojętniał. Przeczytałem jednakże w „Literaturze" świetny artykuł Krystiana Brodackiego „Zapalenie oskrzeli 74" i na nowo mam ochotę coś niecoś powiedzieć. Ale już nie zupełnie na temat Sopotu. Na temat braku związków między faktami a opiniami, tj. na temat pewnych automatyczności działających w naszym życiu społecznym i kulturalnym.

Zaraz, zaraz. Czy mam rację mówiąc „kulturalnym"? Przecież wymieniony festiwal z kulturą nie ma nic wspólnego. Żaden twórczy dorobek przez to nie powstaje, że kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt osób przeważnie płci żeńskiej chorując na manię mikrofonu wysyła w świat mnóstwo decybeli. Można raczej mówić o dźwiękoterapii. Panienki się wykrzyczą i coś tam w psychikach się poprawia. Raczej tak.

Więc z artykułu Brodackiego wynika, że już mamy za sobą okres upojenia festiwalem, że już nie jest on narodową świętością, że powiedzieć o nim kilka krytycznych słów nie oznacza splugawić duszę Polaka. Bardzo mnie to cieszy. Na tyle, że jeśli opadł czas fascynacji, to niech sobie ten festiwal nawet i będzie. Tylko musimy przyznać, że wytworzył się dziwny stan rzeczy. Żadnych poważniejszych racji festiwalu nie widzimy poza tym, że „ludzie chcą się bawić", „żurnaliści chcą pisać", a „piosenkarze chcą śpiewać", natomiast idei festiwalu nie zagraża choćby najmniejsza chmurka. Z trzech wymienionych powodów dwa ostatnie są przecież niedorzeczne, jedynie pierwszy może być brany pod uwagę. Ale ludzie chcą się bawić — w wydaniu sopockim i w ogóle wszelkim piosenkarskim — na zasadzie, że na bezrybiu itd. Jest wielkie zapotrzebowanie na rozrywkę. Znacznie większe niż podaż. Dlatego wchodzi na rynek artykuł nie pierwszej jakości. Widzieliśmy to rozbawienie publiczności akurat takie, jak przy piosence o dzieweczce, która szła do zielonego laseczka. Wydał ktoś pieniądze na bilet kolejowy i bilet festiwalowy, chce wydatek zdyskontować. Wmawia w siebie, że jest rozbawiony, podchwytuje takt piosenki, kołysze się, powtarza refren. Wie, że nie bardzo może grymasić, bo estrada tak wielkich atrakcji jakoś nie oferuje. Więc prawda, że ludzie chcą się bawić. Wątpliwe, czy się bawią.

Koszt utrzymania samych zagranicznych gości wynosi dwa miliony złotych! „Butelka Remy Martin kosztuje w hotelowej kawiarni 1 764 zł, a Salignas Napoleon — 1 960 zł". Oh, Calcutta! Miesięczna pensja niejednego pracownika. Wprawdzie jest to drenaż zagranicy, ale z pewnością nie kompensuje wydatku owych dwu milionów. Zresztą nie jestem głównym księgowym i nie dla mnie to zmartwienie. Ale wolno mi się zdziwić, że w pewnym miejscu naszego kraju, w pewnym okresie tak zasadniczo dochodzi do kontrastu z naszymi warunkami ekonomicznymi. Nie tylko ekonomicznymi, jeśli całkiem bez żenady wspomina się o tym, jak to naga artystka zdjęła pewnemu panu koszulę, a ponadto wykonywała jakeś (jakieś, bo nie wiem na czym polegały) nieprzystojne ruchy.

Coś mi w tym wszystkim nie gra. Powiadam: pogodziłem się, wyperswadowałem sobie, ulżyłem nawet w rozmowach ze znajomymi i wcale już nie pragnę zamknięcia sopockiej imprezy. Skoro ta publiczność tak się tam pcha... Wcale też nie chciałbym oglądać w prasie wyidealizowanego obrazka, i właśnie za złe miałbym Brodackiemu, gdyby nie wychwycił tych wszystkich ujemności, jakich w swym artykule nie szczędzi. Ale chyba tkwi jakaś rozbieżność logiczna, jeżeli się utrzymuje imprezę, o której w najlepszym razie z pobłażliwością się pisze. Jeśli impreza z założenia artystyczna nie jest w rzeczywistości imprezą artystyczną, jeśli dobrej muzyki jest tam niewiele, jeśli bez skrzywienia ust można mówić tylko o pozakonkursowym występie jednego zespołu. Więc dlaczego ten Sopot? Dla plaż, autografów, koktajli, drogich koniaków i okazji do scysji towarzyskich?

Ijon

P.S. Skoro już leży przede mną „Literatura", niech mi wolno będzie dorzucić kilka słów na jej temat... Dlaczego mianowicie owo pismo posiada ten myłny tytuł? Powinno się nazywać „Magazyn społeczno-kulturalny", albo jakoś tak. Bo popatrzmy: „Klucz do tajemnic" — wywiad z Krzysztofem Baranowskim, owoż „Zapalenie oskrzeli 74" — wiadomo, zacytowałem, „Czas ujęty w nawias" — o filmie, „Głos wołającego na puszczy" — w sprawie żubra zastrzelonego w rezerwacie, „Premia za drugi Wawel" — o odkryciu obrazu El Greco, „Kobieta i kino porno" — sam tytuł mówi, „Dzieci i seks" — także, „Osobowość postindustrialna" — rozważania socjologiczne, „Cunhal Luiza" — reportaż z Portugalii. I tak dalej, i tak dalej. Nie dojechałem jeszcze do ostatniej strony tego (37) numeru. Kiedyś czytało się wywiad z naczelnym redaktorem, który deklarował, że pismo będzie zajmowało się przede wszystkim literaturą. Tymczasem w „Literaturze" literatura jest kopciuszkiem. Przyjdzie i do tego przywyknąć.

Sławomir Litwiński

LIMERYKI

Raz szofer co już miał kar nawał
Tak upił się strasznie w karnawał
Że zmylił kierunek
Tak zaćmił go trunek
I wprowadził autokar na wał.

*

Raz pewien chłopiec zuchwały
Zły wniosek wyciągnął z uchwały
że „na rzece nie szalej"
a on nie, płynął dalej,
I otrzymał nasz młody zuch, wały.

*

Raz Karol zwierzył się Anastazji
Że na zebraniu użył perswazji.
Ona się śmiała
Bo zrozumiała
że mówi, że „użył Pers w Azji".

*

Raz krytyk mówił o postulatach
Że je załatwią lecz po stu latach.
Pan jesteś w błędzie
To złe nie będzie
Mówimy o postu latach.

*

Raz kapłan świątyni kultu Ra
Rzekł: myśliwstwo to nie kultura
Takie łowy to zbrodnia
Bowiem widzę jak co dnia
Ubija dziesięć kul tura.

*

Raz Turek rwał włosy z swej brody
Gdy dostał zdrad żon swych dowody
Najpierw batem je walił
Potem harem podpalił
A sam skoczył w Bosforze do wody.

MARTINA WSZYTKOWA

POSTE RESTANTE

SMAK MIŁOŚCI I ŁEZ

Nina dość długo rozmawiała już z Krzysztofem w „Regionalnej" na temat poezji i jej twórców. Niespodziewanie w drzwiach ukazał się Robert, który obejmował jakąś dziewczynę. I on dostrzegł Ninę. Oto dalszy ciąg powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante".

(51)

Widać było, że Robert zawahał się. Przynajmniej tak sądziła Nina. Ale i Nina zorientowała się, że siedzi przecież w kawiarni nie sama. Krzysztof też dostrzegł Roberta, poznał go bez trudności.

— O — powiedział żartobliwie — teraz będzie draka!

Żadnej jednak draki nie było. Robert lekko skłonił głowę i siadł ze swą towarzyszką w drugiej części sali.

— Zmarkotniała pani nieco. Ale proszę się nie obawiać, nie robimy przecież niczego złego, a kawę można wypić. No wie?

— Oczywiście. O czym rozmawialiśmy?

— O tym, że można było urodzić się przed stuleciem.

— Pięknie, ale już dawno zjadłyby nas robaczki.

— Robaczki też pragną żyć.

— Może zapłacimy?

— Chce pani już uciekać? Najwyraźniej się pani przestraszyła.

— Nie. Już i tak długo tutaj siedzimy. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw. Jutro przecież inauguracja roku. A potem trzeba się brać do solidnej pracy.

— Od razu z kopyta? Ale muszę pani powiedzieć, że po tej naszej dzisiejszej rozmowie dziwię się, że pani wybrała medycynę.

— A co miałam wybrać?

— Chociażby polonistykę.

— O to samo mogę pana zapytać. Też trzeba było wybrać polonistykę!

— Na polonistykę nikt by mnie nie namówił. Widzi pani, można mieć pewne hobby. Dla mnie takim hobby jest właśnie poezja. Ale nie wyobrażam sobie, abym na przykład mógł być bejrem.

— Nawet przez moment?

— Przecież to straszne uczyć cudze dzieci. Nie na darmo powstało powiedzenie: „Bodaj byś cudze dzieci uczył!"

— Ja bym mogła być nauczycielką. Tylko teraz dzieci są takie rozwydrzone!

— Gdy byliśmy w ich wieku, o nas mówiono to samo. Kiedyś to były czasy: mundurki, dyscyplina, a dziś tarcza na agrafce.

Akurat przechodziła kelnerka. Nina ją zatrzymała:

— Chcielibyśmy zapłacić...

— Ja płacę — Krzysztof sięgnął po portfel.

— Nie, każdy płaci za siebie. Mamy przecież równouprawnienie.

— Ale przecież ja panią zaprosiłem!

— To nic.

— Niech się państwo zdecydują, ja zaraz wrócę — powiedziała kelnerka.

Ostatecznie stanęło tak, jak chciała Nina. Gdy zmierzali do wyjścia, podszedł do nich Robert.

— Przepraszam cię, Nino, na moment...

Zatrzymała się. Krzysztof stanął nieco dalej, ale i tak wszystko słyszał.

— Czego sobie życzysz?

— Niczego, może pożegnasz tego pana i dosiądziesz się do naszego stolika?

— Nie chcę ci przeszkadzać. Nie chcę państwu przeszkadzać — poprawiła się szybko.

— Daj spokój. Chodź, poznam cię z tą panią. To moja siostra cioteczna. Mieszka stale w Radomiu, wpadła tu na jeden dzień i nawet mnie przedtem nie zawiadomiła. Gdybym jej przypadkowo nie spotkał na ulicy, wcale byśmy się nie widzieli. Chodź, chyba, chyba — ściszył głos — że jesteś zajęta.

Nina zawahała się. Krzysztof znalazł się na poziomie. Szybko podszedł do Niny i z nią się pożegnał. Odruchowo podała mu rękę.

Robert ujął Ninę pod rękę i podprowadził ją do stolika.

— Ela, pozwól, że ci przedstawię. To pani, od której dostałem kosza. No, może niezupełnie jeszcze dostałem, ale coś zaczyna mi kręcić. Umawia się poza moimi plecami... — Uśmiechnął się. Najwidoczniej nie traktował Krzysztofa poważnie. Nina poczuła, że denerwuje ją to nieco. „Uważa mnie za swoją własność — pomyślała. — Taki jest pewien! Ejże! Wszystko jeszcze może się zdarzyć. Ślubu z nim przecież nie bratam..." Niemal siłą zmusiła się jednak do uśmiechu.

— Miło mi panią poznać — oświadczyła. — Robert jak zwykle żartuje...

(dcn)